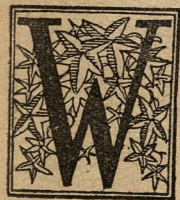




TREŚĆ NUMERU: W 400-ną rocznicę pruskiego hołdu—*Dr. W. Lipiński*. Opieka nad dzieckiem—*A. K. Czuwaj!*—*C. Walewska*. Prawda, utylitaryzm, brak odwagi cywilnej „pierwiastek pałubiczny” i t. p. „historyjki”—*K. S.* Co mówi o sobie pierwsza adwokatka—*Jadwiga Krowczyńska*. Wiersze: Ułan i dziewczyna—*A. W.* Wyrocznia—*Ernest Wildenbruch* (spolszczyła *Ilda Wienierska*). Braterstwo ludów (c. d.)—*Marja Jehanne-Wielopolska*. Zatrzymany zegar (powieść) *Wanda Miłaszewska*. Od liryki do epiki, od weltszmercu do dogmatu—*Stefanja Podhorska-Okołów*. Norwid a Kochanowski—*Z. Szmydtowa*. Rehabilitacja pani Hańskiej-Balzacowej—*K. Biełańska*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i sport—*I. Fabrycowa*. Z Książek—*Z. Szmydtowa*. Z Ruchu Wydawniczego. Abażury—*W.* O wstążkach i wstążeczkach—*Hrobina Annie*. Moda na scenie—*W. L.* Zasady życia towarzyskiego—*J. S.* Przesadzanie roślin pokojowych—*Stan. Schönfeld*. Oszczędność—*Pani Elżbieta*. Skrócony sposób prania—*A. K.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy „Biały Paw”—powieść *Henry Bordeaux* (dok.)—autorzowany przekład *M. Domańskiej*. Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW.

W 400-ą ROCZNICĘ PRUSKIEGO HOŁDU (1525 — 1925)



W dniu 10 kwietnia roku Pańskiego 1525 zbiegły się na rynek tłumy ludzi, wszystkie ulice napełniły się oddziałami zbrojnych mężów, każdy starał się okazać albo w piękne szaty przybrany, albo uzbrojony. Królewska mość otoczył się licznym i świetnym orszakiem senatorów i panów... a gdy zasiadł na tronie, przybyli radcy i poddani księcia Albrechta i wypowiedziawszy piękną mowę, i prosili, aby król księcia Albrechta do łaski raczył przyjąć, ziemie i dobra nadać mu w lenno, a jego samego księciem lennym Korony krować... Potym książę przystąpił do tronu i stóp królewskich i klęcząc przyjął chorągiew z orłem czarnym i wypowiedział mowę, świadczącą o niezwyklej wierności, pokorze i poddaniu...

Tak świadek współczesny opisuje dziejowy akt sekularyzacji

Prus i hołd księcia Albrechta przed królem polskim Zygmuntem I Starym.

Uwieczniona genialną inwencją artystyczną przez Jana Matejkę scena hołdu pruskiego, tak jaskrawo wykazująca potęgę Polski Zyguntowej, Polski Kochanowskich, Orzechowskich, Modrzewskich i Rejów — należy dziś do przeszłości, od której dzielą nas cztery długie wieki. Nie straciła jednak ta chwila historyczna nic ze swej aktualności politycznej. Czworowiekowe oddalenie w czasie nie zatarło jej istoty, przeciwnie wyraźnie i dobitnie ukazało nam cały stosunek Niemiec do Polski, stosunek sąsiedzkiego narodu zachodniego do swego sąsiada ze wschodu. Na tle narodu pruskiego, na tle ówczesnej pruskiej „wierności, pokory — i oddania” — tem wyraziściej, tem jaskrawiej, uwydatnia się tyłowiekowy stosunek polsko-niemieckich spraw...

Zetknęła się Polska ze ścianą niemiecką w zaraniu swego państwowego bytu. Niemiecki napór w stal uzbrojonych mężów, rozrzuconym plemionom słowiańskim nakazał się łączyć, organizować, wzajem wspomagać — by wspólnie stawić czoło idącemu z zachodu niebezpieczeństwu: opiera mu się Bolesław Chrobry, walczą z nim wszyscy Piastowscy dziedzice polskich ziem — aż uchronili macierz swą od zagłady, osłabili napór cesarstwa niemieckiego, wewnątrz walcami szarpanego — i zdało się że na długie wieki spokój zagości u granic zachodnich Polski.

Stało się jednak inaczej. W połowie XIII wieku, gdy Polska rozdarta dzielnicowym ustrojem, słaby dać mogła opór wojownikom — sprowadza Konrad Mazowiecki układowych Krzyżaków, chrześcijańskich Mieczowych Kawalerów, by mu chronili granicę od dzikich najazdów pogańskich Frusaków.

Fatalna była to decyzja, fatalny projekt. Rychło ujrzała się Polska wobec niebezpieczeństwa stokroć groźniejszego, niż pogańskich Prusów najazdy, od północnego wschodu, na chwilowo Krzyżakom odstąpionych ziemiach Dobrzyń — wyrosła potężna, nawskroś militarna, sprzężysta organizacja państwowa krzyżackich Niemców. Próżno Łokietek krwawi na ich karkach swój miecz pod Płowcami, próżno zjeżdżają się komisje papieskie. Bezwzględny, chytry i przebiegły Zakon, oddając się pod zwierzchnictwo cesarza niemieckiego — jednym, potężnym wysiłkiem przesunął granice germańskiego świata daleko na wschód i na północ, by zawisnąć nad Polski losem jak czarna, potężna chmura.

„Wyłamane mu zostały zęby, złamana ręka i uchromiona noga“ w parny, lipcowy dzień pod Grunwaldem. Nieustępliwe i twarde rycerstwo Jagiełłowe obala Zakon, pozbawia sił i rozpędu ekspansji — lecz jeszcze nie łamie. Łamie go dopiero stanowczy Jagiellończyk, uparty Kazimierz. W pokoju toruńskim 1466 r. przygina dumny kark krzyżacki, odbiera zagrabione ziemie, przywraca Polsce morskie brzegi, pozbawia cesarza zwierzchnictwa nad Zakonem, każąc mu składać Polsce lenny hołd...

Zgnębiony Niemiec przyrzeka wszystko, na wszystko przysięga. Lecz zaledwie zabliznił swe rany zakon, odmawia hołdu Olbrachto- wi, Aleksandrowi, Zygmunto- wi: wyprowadza się wreszcie nań rycerstwo Zyguntowe — jest chwila w dzie-

jowym stosunku Polski i Niemiec, że wiarołomnego lennika pozbyć się można było za jednym zamachem, ziemię zakonu na wieki do składu Korony Polskiej wcielić.

Niestety — Polska racja stanu popełnia znów błąd fatalny. Gdy na sejm Piotrkowski zjawiają się pośrednicy księża Jeny, margrabia brandenburski i Fryderyk ks. lignicki, proponując w imieniu mistrza Zakonu Albrechta, „aby posiadał mistrz pewne dobra w Prusach prawem lennem i z nich złożył hołd należny j. kr. mości, jako panu swemu dziedzicznemu, sam zaś kreowany został księciem w Prusach i lennikiem Korony Polskiej“ — Król Zygmunt i panowie Rada, zważywszy że ze wschodu „niebezpieczeństwo zmusza do zawarcia jakiegobądź ugody i obrócenia oręża na Turków“ postanowili: ziemię zakonu, z powodu panujących tam walk religijnych i herezji pozbawionych „wszelkiego porządku dać w lenno tym, którzy je już posiadali“...

Tak doszło do aktu sekularyzacji zakonu, zamiany na świeckie księstwo, z lennem Polsce i hołdowniczym ks. Albrechtem.

Pozornie świetny hołd pruski wkrótce począł się mścić na Polsce. O dziedzictwo po bezpotomnym Albrechcie zabiegają Hohenzollerny brandenburskie, aż wreszcie otrzymują je od Zygmunta Augusta i Zygmunta III-go, zajętych problemami wschodu, zajętych ustawicznie stamtąd idącym niebezpieczeństwem.

Dostały się Prusy książęce w

moc — i posiadanie Hohenzollernów. W sto lat później niepomni lennych przesiąg, niedawnych próśb i pokory względem Korony Polskiej, tak dla nich niebacznie łaskawej — zdradzają Pana swego króla Jana Kazimierza. Współ z Karolem Gustawem w owym roku pamiętnego „potopu“ rzucają się na zewsząd osaczoną Polskę, a jeśli wnet potem opuszczają Szwedów i łączą się z Polską, to jest to za cenę zwolnienia od hołdu i lenna.

Od traktatu welawsko-bydgoskiego krok już był tylko do powstania pruskiej monarchji. W niecałe pięćdziesiąt lat później elektor brandenburski i książę pruski, w ręku Hohenzollernów złączywszy ogromny szmat ziemi — ogłasza się w r. 1701 królem pruskim. W niecały wiek później dawny lennik i pokorny hołdownik rzuca się na Polskę, rozbiorem jej ziemie rozdzierając...

— Takich doczekała się rezultatów Rzeczpospolita Polska, gdy zbytnią powściągliwością kierowana — nie zdławiła w dniach swej potęgi łamiącego przysięgi lennika. Dopuściła do pruskiego hołdu i sekularyzacji zakonu — niepomna, że z sasiadem zachodnim w żadne pakt, traktaty ni umowy wchodzić nie można, bo jak i dawniej, tak i dzisiaj zawsze będą one tylko „świsłkami papieru“...

O tem w 400-ą rocznicę hołdu, w momencie, gdy znów wzrasta i wzmacnia się napór niemiecki od zachodnich naszych stron — nie powinniśmy ani na chwilę zapominać.

Dr. W. Lipiński

OPIEKA NAD DZIECKIEM



dziedzina pracy w życiu społecznym, której ważność ogół społeczeństwa mało sobie uświadamia, a teni samem mało o niej wie — to opieka nad zdrowiem obywateli kraju, choć przecież „największem bogactwem państwa jest zdrowy jego obywatel“.

Nie wystarczy czuwać nad zdro-

wiem obywateli, trzeba od dziecka takiego zdrowego obywatela wychować; tu z całą siłą narzuca się zasada: trzeba zachować zdrowie zdrowego dziecka, trzeba pielęgnować zdrowe dziecko, żeby nie potrzebować pielęgnować chorego. W zrozumieniu tej idei wyprzedziła Europę Ameryka, a nas oczywiście cały Zachód, szczególnie zaś Anglja. — Ciekawem byłoby zaznajomić się z tem, jak sprawę pielęgnowania zdrowia ujęto

w krajach Zachodu. Jest to jednak temat tak obszerny, że raczej nadaje się do pism specjalnych. W w dzisiejszym numerze chcę pokrótce wykazać, co u nas zrobiła, i co zrobić zamierza jedna tylko niezmiernie ważna i niezmiernie żywotna instytucja Polsko-Amerykański komitet pomocy dzieciom (P. A. K. P. D.). O działalności tej instytucji, która wyraźnie stoi na gruncie zasady: „pielęgnować zdro-

wie zdrowego dziecka" — stanowczo za mało wiemy — i dlatego może za mało lub też wcale z nią nie współpracujemy.

Najprzód krótka historia Komitetu.

W czasie wojny Amerykański Czerwony Krzyż z całą swą światną organizacją, i wielkimi zasobami materialnymi przyszedł nam z pomocą w opiekowaniu się chorym i rannym żołnierzem. Z chwilą skończenia wojny zajął się zorganizowaniem opieki nad dziećmi, przeznaczając na ten cel olbrzymie swoje zapasy.

W czasie wojny i w najbliższym czasie powojennym społeczeństwo bądź to z prywatnej inicjatywy, bądź to zarządy miast, przy wydatnej pomocy rządu zajęły się opieką nad dzieckiem, ratowaniem dziecka od głodu i chłodu, co wtedy wobec najfatalniejszych warunków aprowizacyjnych, mieszkaniowych i t. p. było rzeczą pierwszorzędnej wagi. W tym samym kierunku prowadzona była „akcja Hoovera”.

W 1921 r. w jesieni otwiera pierwszą „Stację opieki nad niemowlętami” (obecnie — „Stacja opieki nad matką i dzieckiem”). Jaki cel Stacji? Opiekować się ciężarną kobietą, żeby urodziła zdrowe dziecko, kierować racjonalnym wychowaniem dziecka zdrowego, oraz kształcić w tym duchu matki. To cel — a w jaki sposób Stacja ten cel osiąga.

Dzięki uprzejmości p. Kruze, — wybitnej działaczki na polu opieki nad dzieckiem, oraz na polu pielęgniarstwa i higieny społecznej w jednym z następnych numerów „Bluszczu” damy opis pracy takiej Stacji. Dziś trochę tylko ogólnych wiadomości.

A więc: Dziecko, które jest pod opieką stacji jest systematycznie, w określonym czasie ważone, badane, w razie choroby leczone lub kierowane do odpowiedniej instytucji: ambulatorjum czy szpitala, dziecko ubogich rodziców otrzymuje po cenie możliwie jak najniższej przedmioty codziennego użytku, matce zaś lekarz udziela wszelkich wskazówek i rad, jak należy racjonalnie pielęgnować dziecko. Opieka nad ciężarną polega na comiesięcznym badaniu i dostarczaniu jej niezbędnej pomocy w czasie porodu. Trzeba tu jednak odrazu zaznaczyć, że Stacja nie jest instytucją leczniczą — lecznictwo jest tu tylko działalnością pomocniczą. Rozdawnictwo, czy też dostarczanie po bardzo niskich cenach rozmaitych produktów, a przedewszystkiem mleka, oraz przedmiotów codziennego użytku: mydła, pudru dziecięcego i t. p. wprowadzone w okresie bezpośrednio powojennym, miało na

celu przyciągnięcie i przywiązanie matki do Stacji. — Ten stosunek jednak, oparty na korzyściach materialnych zmienia się powoli. Matki rozumiały, że ważniejsze i cenniejsze niż przedmioty użytku, są wskazówki i porady, których Stacja im udziela. Na Stacji zatem pracować musi lekarz specjalista — dopomaga mu pielęgniarka — która poza Stacją jest wizytatorką domową — gdzie zapoznaje się z warunkami życia dziecka, a równocześnie jest wychowawczynią, instruktorką *) w stosunku do matki.

Stacji takich do dnia dzisiejszego funkcjonuje 93, a 20 ma się wkrótce otworzyć, — 25 tysięcy dzieci „należy” do Stacji, a 45 tysięcy jest zarejestrowanych. Do Stacji „należą” dzieci, które zostały zgłoszone wkrótce po urodzeniu i które pozostają pod systematyczną kontrolą i opieką Stacji, oraz korzystają z wszelkiego rodzaju pomocy.

Usuwając się z Polski w lipcu 1922 r. Misja Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przekazała swoje agendy oraz majątek instytucji Polskiej pod nazwą „Wydział Higieniczno-Lekarski P. A. K. P. D.” naznaczając na dyrektora Dr. Gromskiego. Siłą faktu Wydział stał się niejako centralną instytucją w Polsce, która sprawy opieki nad dzieckiem i matką ujęła w swoje ręce. Oto jak całość tej pracy według słów p. Gromskiego ma się przedstawiać, (Opieka nad dzieckiem № 1 1925 r. str. 15) „Stacja opieki nad niemowlętami” wraz z poradnią dla matek i kobiet ciężarnych, kuchnia mleczna i przychodnia dla niemowląt chorych, a dalej, szeroka popularyzacja puerykultury przez wizyty domowe pielęgniarek u ciężarnych

*) Tu mimochodem zaznaczyć muszę, że ten typ pielęgniarki — opiekunki zdrowia, higienistki społecznej u nas prawie nie istnieje, natomiast w Ameryce jest już bardzo rozpowszechniony. Otwiera się zatem w Polsce niezmiernie wdzięczne pole pracy dla kobiet, w szczególności dla kobiet o rozwiniętym instynkcie społecznym. Pewne usterki i braki w funkcjonowaniu Stacji, trudności przy uruchomieniu nowych — w dużym stopniu należy przypisać brakowi właśnie takich wykwalifikowanych pracowników. Złemu zaradzić muszą odpowiednie szkoły i znów dzięki pomocy Amerykańskiego Czerw. Krzyża zostały otwarte dwie takie szkoły pielęgniarstwa w Poznaniu i Warszawie. Wydział Hig. L. jest w bliższym kontakcie ze szkołą, między innymi umożliwia uczniom korzystanie w celach specjalizowania się na Stacji Op. ul. Podwale 50. To ułatwi w przyszłości pozyskiwanie absolwentek szkoły do pracy na Stacjach.

i matek karmiących, dobrze zorganizowane, systematyczne odczyty i pogadanki, objaśnione przezroczami na tematy z higieny ciąży i niemowlęstwa, urządzane przez lekarzy stacyjnych lub przez wykwalifikowane pielęgniarki; instytucja znana pod nazwą „Ligi małych matek”, grupująca młode, od 10 — 14 lat dziewczęta, które pod kierunkiem specjalistek uczą się wykonywania tego wszystkiego, co niezbędne jest przy pielęgnacji niemowlęstwa; książki, broszury, obrazy dotyczące zagadnień puerykultury, pisane w dostępnym dla szerokiego mas sposobie, czasopisma, których treść porusza sprawy teoretyczne i praktyczne z dziedziny wychowania niemowlęcia; wreszcie takie czynniki pomocnicze, jak lekarze wolnopraktykujący, akuszerki, instytucje dla położnych, szpitale dziecięce, ambulatorja kas chorych, przychodnie przeciwgruźliczne, oto szereg sił społecznych, jakie należy powiązać, skoordynować we wspólnej pracy pomocniczej, w sposób najbardziej łatwy, o ile możliwości jednolity i na jednych podstawach dla całej Polski oparty”.

I rzeczywiście w zrealizowaniu tych zadań Wydz. H. L. wykazuje niezmierną żywotność.

A więc: prowadzi na terenie Warszawy kilka biur dla młodzieży w wieku szkolnym. Przy jednym z nich (Czerniakowska 131) założył szpital jagliczny na 140 łóżek, a projektowany jest jeszcze jeden podobny na wielką skalę w Szrenimie (Poznańskie).

Prowadzi uzdrowisko w Otwoku, a projektuje wielkie uzdrowisko w górach. Projekt ten, jak zawsze w instytucjach naprawdę żywotnych, bliski jest urzeczywistnienia. Dr. Gromski zajął się już osobiście wyszukaniem odpowiedniej miejscowości.

Dalej wydział stworzył poradnię przeciwgruźliczną — a ma być otworzona jeszcze jedna wzorowa, na wielką skalę, na modłę Zachodnio-europejską. W porozumieniu z Magistratem m. st. Warszawy, urządza dla dzieci wątłych plażę nad Wisłą — z tem, że będzie się im ułatwiałoby dostanie się na miejsce, i za niewielką opłatą dostarczało w ciągu dnia odpowiedniego pożywienia.

Wydział prowadzi wypożyczalnię książek treści fachowej (w kilku językach) i od stycznia 1923 roku wydaje dwumiesięcznik „Opieka nad dzieckiem”, porusza on zagadnienia opieki nad dzieckiem i macierzyństwem. A dalej wydano w celach propagandy higieny niezmiernie pożyteczne, o formie popularnej broszurki z dziedziny hi-

gjeny ciąży oraz wychowania niemowląt i dzieci. W tymże samym celu skompletowano przezrocza do odczytów, rozdano szereg tych kompletów i kilka latarni projekcyjnych, a w 1923 r. zorganizowano „Lotny oddział“, który zaopatrzone w swój kinematograf, objechał 41² miast w Polsce, wygłosił kilkaset odczytów. — Oddział skła-

dał się z 3 lekarzy, kierowniczką administracyjną i personelu pomocniczego. W czasie tych objazdów rozdano wielką ilość broszur i plakatów z dziedzin higieny, oraz kilkaset kompletów książek popularnych, poruszających rozmaite zagadnienia higieniczne.

Oto w krótkich zarysach historia

i praca Wydziału Higieniczno-Lekarskiego Polsko - Amerykańskiego Komitetu Pomocy Dzieciom.

Przedstawia się ona imponująco. Dalszy rozwój tych instytucji zależy nie tylko od poparcia sfer rządowych, ale i od zainteresowania tą kwestją całego społeczeństwa a przede wszystkim kobiet.

A. K.

C Z U W A J!

(Z powodu artykułu p. H. Pawłowiczówny „O przysposobieniu kobiet do obrony kraju“).



ajmłodsze pokolenie, zrodzone w niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej nigdy nie zrozumie lęku tych, w których uderzył nagły blask wyzwolenia po udręczonych mrokach niewoli.

Żeby nie wydarto im znowu tej „umiłowanej“, wymarzonej, wyśniewanej w sybirskich katogach, w celach więzień, przed szafotami skazańców, której — zdawało się — nie zobaczą już bez łańcuchów czy żyjących...

Każde złe posunięcie na szachownicy dyplomatycznej, każde niezrozumienie przez obcych znaczenia Polski dla pokoju Europy i Jej swobodnego kulturalnego rozwoju, każda wewnętrzna zamieszka i pobudki z zewnątrz, wywołujące ją, — to już dreszcz trwogi o całość ojczyzny, o naruszenie podwalin jej bytu, nadwężanie tego wspaniałego rusztowania, które w ciągu ostatnich lat niespełna zdołaliśmy wznieść dla budowy naszej państwowej potęgi.

Ach, ten niepokój starych ludzi, żeby nagłego światła zmartwychwstania nie rozdarł jakiś cień ponury, ten strach bolesny o każdą piędź własnej ziemi, każde wywalczone dobro, każdy mądrze — wysiłkiem sterników narodu zaprowadzony ustrój!..

Już wybrnęliśmy z chaosu pierwotnej administracji, już — nawet sceptyk i pesymista to przyzna — krzepniemy w sobie, tężejemy, pracujemy z zupełną świadomością celów i dążeń, niezbędnych dla dzwignięcia demokratycznej Polski o wszechświatowem, państwowem znaczeniu.

Aż nagle grom. Naganka wszystkich przeciw jednemu. Odbudowa Niemiec jest niezbędna dla unormowania ekonomicznych warunków bytu większych państw Euro-

py. Potrzebna jest również dla uregulowania stosunków między Ameryką a Europą. Niemcy muszą wejść w skład Ligi Narodów, a nie wejda, dopóki nie będą poprawione wschodnie ich granice, ewentualnie — dopóki nie odbiorą Górnego Śląska i korytarza gdańskiego (o Poznańskim nie mówi się wyraźnie, ale myśli dosadnie). Wielki anglosaski sprzymierzeniec — wróg niedawny, — (Gott strafe England! mówiło czasu wojny każde dziecko przy bogobojnym pacierzu) dopomaga im całą siłą pary. Chwieje się Belgia — ta zdeptana, sponiewierana, wyniszczona przez hordy germańskie męczennica wojny — zdawałoby się przyjaciółka Polski na śmierć i życie. W rezerwie — do września — trzyma się Ameryka, bo prezydent Coolidge zajęty jest wewnętrznymi sprawami państwa. Macchiawelizuje Benes, o którym Bain brile w „Action Francaise“ pisze, że — jak Marja Teresa, gotów płakać, ale niemniej brać, gdyby wypadło Polskę krajać na części.

A Francja, której Niemcy przyrzekają całość granic swoich za chodnich, czyli — nienaruszalność Alzacji i Lotaryngii w zamian za wolną rękę na wschodzie — Francja, która jest dłużniczką Anglii i Ameryki, której frank spada, która dotąd nie może podźwignąć się z wojny „zwycięskiej.“ Francja, którą osnuwa misterna siecią intryg germanofil Caillaux, omal nie powieszony w czasie wojny, — Francja w większości swojej zawsze nam wierna, ale już targana, podkopywana prądami nieufności przeciw sprzymierzeńcowi, który — co może jej dać? Ani pieniędzy, ani wpływów dyplomatycznych, ani wielkich koniunktur przemysłowych — ubogi krewny, sadzany przy końcu stołu i częstowany resztkami z półmisków.

O krwi jego rycerskiej, o bezprzykładnem bohaterstwie, o cudzie nad Wisłą, który ocalił Europę przed hordą bolszewicką, już się dziś nie mówi.

Pamiętają o niej tylko jeszcze ci nasi przyjaciele francuscy, którzy wraz z jednym z najwybitniejszych publicystów wołają urbi et orbi, że „gdyby ojczyzna ich odwróciła się od Polski, przestaliby uważać się za jej synów...“

Ale — jeżeli partja Caillaux i temu podobnych u trzeźwych finansistów, zuchwałym atakiem odprze grupy naszych sprzymierzeńców? — Jeżeli przekrzyczy ich (zwykle hałaśliwa mniejszość odbiera głos większości) co wtedy?

Stary, z podziemia niewoli wypelzły człowiek trzęsie się z przerażenia i rozpacz. Umrzeć, a nie widzieć okrojonej Polski...

Ale nie młodym drzeć w bezradnym lęku. Nie młodym giąć się w rozpacz. Ramieniem i piersią obronią Ojczyznę.

Tylko trzeba pamiętać — cud się nie powtarza. Radzymin — ten spazm szalu, ten ślepy odruch samoobrony narodu, który za wszelką cenę chce żyć nie wróci w tej formie, w jakiej objawił się przed pięciu laty.

Radzymin jutrzejszy, to już musi być nie ślepy szal, ale zwycięstwo świadomych siebie i celów swoich poczyną, organizacji, woli

Krew bohatereską ma i mieć będzie zawsze młodzież nasza — to życie, ta sól narodu. Ale trzeba skończyć z improwizacją. Trzeba skończyć ze stosunkiem 30 proc. wydajności pracy przy 150 proc. nakładu sił, jak to — zdaniem p. H. Pawłowiczówny (tęgie, mocne słowa) — działo się w 1919 roku i 1920.

Młodzież męska ma swoje liczne organizacje szkolne i pozaszkolne ćwiczy się i przysposabia do obrony kraju. Nigdy za wiele. Sieć pla-

cówek przygotowawczych powinna objąć wszystkich młodych mężczyzn bez wyjątku.

A dziewczęta?...

Jeszcze się mówi: czy to potrzebne?... Czy celowe? Czy odpowiada usposobieniu i ustrojowi fizycznemu kobiet?... Ktoś musi zostać przy domowych pieleszach.

Tak. Musi. I nikt nie śmiałyby odciągać od nich matek — opiekunek rodziny, starszych sióstr, które utrzymują młodsze rodzeństwo, córek, mających na karkach swoich niedołężnych rodziców.

Ale — w 1919 i 1920 r. widzieliśmy, jakim niepowstrzymanym pędem szły kobiety na pomoc wojsku jako sanitariuszki, kurjerki, łącznikowe, jak na tyłach armji lub na froncie pracowały w gospodach, kantynach, szwalniach, na punktach odzieżowych, jak stworzyły kadry oświatowe i biegły z książką do żołnierza.

Nie było stowarzyszenia kobiecego, któreby nie wyłoniło z pośród siebie zastępu pełnych poświęcenia, pracownic. Tysiące kandydatek, zapisanych na listy, nie otrzymywało zajęcia, bo — trzeba będzie protekcji, żeby stanąć w szeregach służebnic ojczyzny. Zdawało się, że odpadały wykwalifikowane pielęgniarki, instruktorki oświatowe, szwaczki, gospodynie dyletantki, przyjmowano mamy, ciocie, kuzynki, będące u steru instytucji, organizujących kadry.

Mimo najlepszej woli, mimo ofiarności bez granic, na 150 proc. nakładu sił, przypadała wydajność pracy zaledwie w 30 procentach.

I temu winien był brak przysposobienia kadr ochotniczych, brak skoordynowania pracy, brak porozumienia między instytucjami, które organizowały pomoc dla wojska.

Każda zakreślała sobie jeden i ten sam program. Każda wysyłała delegatki na punkty przemarszu, na dworce dla przyjmowania i karmienia żołnierzy, dla opatrywania rannych i szerzenia propagandy. Każda zakładała pralnie dla wojska, szwalnie, kantyny, herbaciarnie, punkty sanitarne, tworzyła kadry oświatowe. Ale nie przyszło im na myśl powyznaczać sobie placówek. Powstały stąd różne anomalje.

Gdy nieraz długie wiorsty jechało się bez spotkania po drodze jakiejś pomocniczej organizacji, w innych miejscach co krok żołnierz miał opiekę, opływał w jadło, książki, kąpiele, czystą bieliznę.

Z dworców, gdzie uwijały się panie z opaskami i z różnych punktów przemarszów wciąż ochodziły skargi. Tu — gdy trzeba było

opatrzyć rannego — akurat nie przyszła honorowa sanitariuszka. Tam — gdy prosił o wodę spragniony szeregowiec, dama od propagandy oznajmiła mu, że pani z posterunku odzieżowego przed chwilą musiała odejść i schowała wszystkie kubki. Kiedy indziej zdarzyło się, że na posterunkach obsadzonych przez kilka instytucji naraz, nie było obsługi zupełnie, bo pani X myślała, że zastąpi ją pani Y. Pani Y spuszczała się na panią Z i tak w kółko. Niekiedy — po przyjściu na nocny dyżur — nie zastawano żadnych pomocy — ani węgla do zagrzania wody na herbatę, ani imbryków, ani kubków, ani chleba. Węgla pożyczył czasem maszynista. Chleb trzeba było kupować za własne pieniądze.

Taki dyletantyzm nie może się powtórzyć.

Genjalny odruch społeczeństwa w 1920 r. zrobił swoje mimo chaosu bezprogramowości, mimo braku konsolidowania wysiłków i braku mocnych dłoni, któreby trzymały w karbach zbiorowość. Bo tak już musiało być. Bo Król-Duch narodu sam jeden z odmetów dobrej woli stworzył poryw zwycięski.

Ale Król-Duch staje tylko w nagłej potrzebie. Dziś mamy czas przygotować się i ślepy odruch nas nie zbawi. Przyszłość musi znieść piętno dorywczowości.

Letnie Obozy Żeńskie dla przysposobienia rezerw kobiecych, tak żywo i ściśle opisane przez panią H. Pawłowiczównę (№ 12 „Bluszczu” z r. b.) wprowadzą rygor wśród kobiet. Kto przejdzie je, już będzie wiedział, jak pracować i jak normować posterunki pracy. Świadome zadań swoich, wyćwiczone, karne i sprawne jednostki ujmą w swe ręce organizacje służby narodowej kobiet w chwili koniecznej potrzeby, stworzą kadry programowe i ściśle określone punkty działania. Znikną z widowni „protecyjne kapliczki”. Wyszkołenie będzie stanowiło o wszystkim.

Ponieważ do żeńskich obozów letnich napływają kandydatki ze wszystkich sfer społecznych i wszystkich stron kraju, więc w każdym zakątku Polski znajdzie się jedna, dwie osoby, zdolne do zorganizowania kadr pomocniczych i pokierowania nimi.

Niechby tylko to dały obozy, — już stworzą rzecz wielką.

Czy mają nas przerażać obowiązujące ćwiczenia z bronią?

Wszystkie trzy powstania, a wreszcie lata 1919 i 1920 wykazały krwawą rycerską kobietę polską. Rzuciły wypieszczone panienki z dworów dom rodzinny, wykwinę, dobrobyt i szły na głód, nędzę, wyniszczające walki powstańcze. Mamy nazwiska, które w dziejach wielkich bojów o wolność naszą zaryły się niezapomnianymi zgłoskami. Emilji Plater, Barbary Czarneckiej, Joanny Żubrowej, Tomaszewiczówny, Raszanowiczówny, Pustowójtówny i tylu innych nie byłaby wstrzymała żadna siła ludzka do orężnej obrony kraju. A bohaterki 1919 i 1920 r. — Ochotnicza Legja Kobiet, która czeka na monografię swoją... Czekają na nią obrończynie Lwowa, Wilna, Górnego Śląska, Warszawy.

To, co napisano o nich dotąd, bezimiennie suchy zbiór raportów i rozkazów dziennych*) — jest cennym dokumentem historycznym, ale który nie objął tego całokształtu poświęcenia, jaki wniosła żołnierz — kobieta nasza w ostatnią walkę wyzwoleniczą. Nie wykazała tego żywiołu, który ją gnał na najbardziej niebezpieczne posterunki pędził w paszczę ognia, pod grad szrapneli bądź jako kurjerki, bądź łącznikowe, bądź proste żołnierki.

Winni jesteśmy im książkę o nich i nie tylko o nich — bohaterkach z pola boju, ale także o tych, które rzucały warsztaty zarobkowej pracy, rodzinę, byt spokojny i szły na tyły armji pracować dla wojska.

Gdy amazonka rosyjska, organizatorka i dowódca Bataljonu śmierci kobiecego w Rosji rozślawiła nazwisko i czyny swoje pamiętnikiem, który obleciał Stary i Nowy Świat tłumaczony na kilka obcych języków, — o naszych dostojnych rycerkach nie wie się nic prawie.

A jednak należały do O. L. K. kobiety piszące, które mogłyby rzucić w świat sylwety bohaterek, żeby stały się wzorem dla przyszłych pokoleń i utrwaliły wiarę w siłę apostołską kobiet, jako obrończynie ojczyzny.

Letnie Obozy Żeńskie będą ścigały niewątpliwie coraz liczniejsze zastępy uczestniczek. Witamy je i podziwiamy, bo w nich zaródkiem duchowej i fizycznej, jądro sprężystej energii, zmysłu organizacyjnego i źródło niewyczerpanej siły zrozumienia, że hasłem nie tylko mężczyzn, ale i kobiet w dobie odmetów czy spokoju, w godzinach pomyślnych czy złowróżbnych posunąć dyplomatycznych, w chwili pożądanych lub niebezpiecznych koniunktur politycznych winno być harcerskie „Czuwaj.” C. Walewska

*) „Ochotnicza Legja Kobiet”. Szkic historyczny. Lwów, 1921 r.

Prawda, utylitaryzm, brak odwagi cywilnej, „pierwiastek pałubiczny” i t. p. „historyjki”

II

Czy można kłamać, nie mówiąc? Pytanie brzmi paradoksalnie. A jednak wiemy dobrze, że nie jest to paradoksem — przeciwnie, że jest to forma kłamstwa najczęściej spotykana.

„Qui tacet, consentire videtur” (Kto milczy, potakuje) Kto nie zaprzecza kłamstwa, niejako sam w niem bierze udział. Milczenie w tym wypadku nie jest stanem indyferentnym, ale pozytywnym aktem zgody i współuczestnictwa. Tak, a nie inaczej, bywa to rozumiane przez nasze otoczenie. Tak, a nie inaczej, odnosi się do tego i nasza własna świadomość, skoro za każdym razem akt takiego milczenia wywołuje w nas stan przykrego niezadowolienia i wewnętrznego wstydu. Tak wyraźnie ujemna autokrytyka dowodzi, że coś tu jest w nieporządku, a etyczny charakter tej oceny wskazuje, że w grę wchodzi tu nasza istota moralna.

Milczenie wbrew własnemu przekonaniu, wbrew poczuciu, że powinno się mówić, aby „dać świadectwo prawdzie”, jest niestety zjawiskiem ogromnie rozpowszechnionem.

Powiadamy, że życie nas do tego zmusza — stosunki. Tak, ale stosunki my sami wytwarzamy! Powstaje więc błędne koło: milczymy i jesteśmy nieszczerzy, bo stosunki życiowe nas do tego zmuszają, a to milczenie właśnie i nieszczerzość wytwarzają takie stosunki. Jądro sprawy nie leży zatem zewnątrz nas, ale tkwi głęboko w nas samych, w naszej psychice, w naszym charakterze.

Aby człowiek zdobyć się mógł na czyn, narażający w jakiś sposób te lub inne interesy jego życiowe, grożący, jak się wyrażamy, jakimś niebezpieczeństwem — posiadać musi w duszy swej cały szereg odpowiednich warunków, noszących sumaryczną nazwę: odwaga.

Dla większości ludzi najwyższym interesem życiowym jest samo życie. I dlatego od dawien dawna w najwyższej cenie u ogółu była odwaga w obliczu grożącej śmierci. Odwaga osobista, ofiarowanie własnego życia na rzecz celów wyższych, bezinteresownych, jest bezwątpienia jednym z najpiękniejszych i najpotężniejszych objawów duszy ludzkiej. Ale nie, zapominajmy o tem, że odwagę

osobistą wykazują także nieraz i zbrodniarze, choć cele ich nie są ani wzniosłe, ani bezinteresowne. Wartość moralna odwagi osobistej jest więc zależna od motywów odwagi czynu. Oceniamy nie to, co się naraża, ale to, za co się naraża życie.

Zasada, że „lepszą śmierć, niż życie w hańbie”, nie miała nigdy zbyt wielu wyznawców — zwłaszcza wyznawców „praktykujących”. A jeśli sens tej zasady weźmiemy w znaczeniu nieco szerszym, gdy mówić będziemy nie tylko o śmierci fizycznej, ale i o śmierci moralnej, nie tylko o hańbie w rozumieniu zewnętrznym, społecznym, ale i o wewnętrznym pohańbieniu — „wewnętrznych” spadnie do minimum.

Czemże jest śmierć fizyczna w porównaniu z całym pasmem walk i cierpień, na jakie naraża się człowiek, który nie chce, czy też nie może wyrzec się swoich zasad i ideałów?

Życie, oparte na bezwzględnej prawdzie, nie jest łatwe. „Trzeba do tego odwagi dużo większej, niż na wojnie” — mówi słusznie prof. Dr. J. Ujejski*).

Łatwiej jest w podnieceniu wojennym, w atmosferze współdziałającego otoczenia walczyć przeciw śmierci, niż przez całe życie zmagać się z otoczeniem o życie i prawdę.

To też odwaga cywilna jest zjawiskiem o wiele rzadszym, niż odwaga osobista. Ludzi, nie lekających się mówić prawdę wbrew „nastrojom” otoczenia, jest o wiele mniej, niż przypuszczamy.

*) „Nasze drogi” Zeszyt 1 r. 1924.



Każdy przeciętnie „porządny człowiek” jest w mniejszym, lub większym stopniu tchórzem moralnym, a wskutek tego zanika nawet u ogółu świadomość dyskwalifikacji tej cechy. A jednak kto wie, czy brak odwagi cywilnej nie przynosi w rezultacie sprawie prawdy więcej szkody, niż najgrubszy utylitaryzm.

Utylitaryzm i tchórzstwo idą zresztą bardzo często w parze. Trzeba bowiem rozróżnić dwa rodzaje utylitaryzmu: materialny i moralny. Bardzo wielu ludzi, skądinąd porządnym i bezinteresownym, popada w obłudę i kłamstwo z pobudek li tylko wewnętrznych. Lęk przed narażeniem się opinii otoczenia, obawa utraty popularności, chęć przypodobania się każą im poświęcić swoją godność i poczucie moralne. Jakże wielu jest takich ludzi! tchórzliwych i próżnych!

Próżność i tchórzostwo sprawiają, że człowiek ciągle „gra komedję” nie tylko przed swoim otoczeniem, ale nawet przed sobą samym. Nieraz aby uniknąć świadomości jakiejś przykłej prawdy o sobie samym, udaje, zmyśla, sugeruje sobie rzeczy nieistniejące — jednym słowem okłamuje sam siebie. Są ludzie, którzy w pogoni za swoją racją, czy swoją przyjemnością, umieją dziwnie sami siebie oszukiwać. Prześlizgując się jakimś misternie wytworzonym korytarzem między świadomością, a podświadomością, fałszują własne przekonania, deprawują sumienie.

W duszach wielu ludzi tkwi głęboko ukryty, nawpół świadomy czynnik, który K. Irzykowski w książce swojej: „Pałuba” nazywa „pierwiastkiem pałubicznym”.

Jest to właśnie owa skłonność do nieszczerości, do strojenia się wobec siebie samego w piękne piórka, albo jak się wspomniany autor wyraża, w „garderobę duszy”.

Ta „komedja” grana wobec siebie samego, to fałszowanie własnych stanów wewnętrznych, własnych przeżyć i własnych motywów działania posiada nieraz tak wielką moc sugestywną, że wprowadza w błąd nie tylko otoczenie, ale usypia na chwilę i własne poczucie prawdy: „sumienie” moralnie intelektualne. Usypia tylko

na chwilę, bo prędzej czy później budzi się zawsze ten głos boski, tkwiący na dnie duszy nawet najbardziej zdeprawowanego człowieka, który bezwzględnie i donośnie świadczy dla prawdy".

Prawda i moralność — oto najwyższe wartości, wszystkie ciężkie zmagania się ludzkie miały zawsze

na celu zdobycie lub obronę tych właśnie skarbów.

Walka dobrych ze złymi, wiedzących z niewiedzącymi kiedy ona się skończy? i jak?

Sokrates wierzył, że kto pozna cnotę, temsamem stanie się cnotliwym. Zarzucano mu, że doświadczanie temu zaprzecza.

A jednak nie ulega wątpliwości, że gdy ludzie rozumieją, iż prawda-moralność nie tylko nie stoi w sprzeczności z racjonalnie pojętym utylitaryzmem, ale wprost jest jego warunkiem — wtedy dopiero zapanuje na świecie prawdziwa cnota i prawdziwe szczęście.

K. S.

Co mówi o sobie pierwsza adwokatka w Polsce



arszawska Izba adwokacka przyjęła niedawno w poczet swych członków pierwszą kobietę. Pani Helena Wiewiórska jest tą, która otwiera drogę

pięknej i doniosłej karierze wśród kobiet na ziemiach Rzeczypospolitej. (Kilka adwokatów Polek praktykuje już we Francji, gdzie od 1900 roku kobiety zostały dopuszczone do adwokatury).

— Górą kobiety, — powiedziała, śmiejąc się, pani Wiewiórska, gdy zjawiłam się u niej w imieniu „Bluszcza” — Dziennikarka przychodzi na interview do adwokatki!

W gabinecie adwokackim przy ul. Hożej 20...

Stosy papierzków i „kancelaryjny” zapach?...

Na tle kłimów i szalów — półki biblioteczne, bibeloty, antyczne biurko pełne książek, — na tem tle przez otwarte drzwi gabinetu widzę matkę i córeczkę — obie przy pracy. Kilkuletnia ciemnowłosa dziewczuska przy lekcji z nauczycielką, obok czuwa młoda matka, schylna nad biurkiem. Więc to jeszcze jedna z tych kobiet, które umieją pogodzić obowiązki rodzinne — (pani Wiewiórska jest żoną dziennikarza) — z poważnymi studjami i pracą zawodową...

Szczere i otwarte spojrzenie, energiczne ruchy, wdzięk kobiecy niefalszowany wieje od pierwszej obrończyni polskiej. Doznaje się miłego wrażenia, że tak właśnie sympatycznie wygląda nasz pierwszy adwokat — kobieta, że nie jest to jakiś „nie do ludzi podobny” cudak, jakie zdarzają się między tak zwanymi „mądrymi kobietami”.

Naturalnie cisną mi się na usta wszystkie dlaczego, jak, kiedy...

— Dlaczego obrała pani karierę prawniczą? — rzucam od razu na pierwszy ogień,

— Dlaczego? Szłam właściwie w innym kierunku — miałam inklinacje do sztuki śpiewu — kształcono mnie w śpiewie. Ale zawsze tak żywy brałam udział w sprawach społecznych... Wybrałam prawo jako najlepszy oręż w pracy społecznej.

— Bardzo ładny punkt widzenia. Więc pracuje pani społecznie?

— Teraz może mniej. Prace fachowe, chwilowo przygotowanie do egzaminu... absorbuje mnie dziecko. Jestem w zarządzie Patronatu więziennego, w Klubie Politycznym Kobiet Postępowych... Za czasów studenckich we wszelkich możliwych kółkach, przed wojną — potem w Towarzystwie pomocy ofiarom wojny, głównie pracowałam w dziale oświatowym — organizowaliśmy szkoły polskie, założyliśmy „Macierz Szkolną” w Petersburgu i Moskwie..

— Gdzie studjowała pani?

— Kończyłam prawo w Petersburgu.

— Czy dawno pani rozpoczęła praktykę adwokacką?

— Przed trzema laty, staję wszadach od 1922 roku.

— Jak idzie pani praktyka? Czy nie doznaje pani trudności, nie spotyka się z uprzedzeniami jako kobieta?

Pani Wiewiórska śmieje się.

— Zaczynałam praktykę w małych miastach. Zdawałoby się, że na prowincji będzie więcej uprzedzeń — Otóż wbrew przewidywaniom z tem się prawie nie spotykam.

— Jest to zdanie wszystkich dzielnych kobiet w różnych zawodach. Dają sobie doskonałe radę, jeśli umieją pracować...

— Mnie szło dobrze — wyznaje pani Wiewiórska. Wśród sędziów wszędzie doznawałam serdecznego przyjęcia. Przy sprawach umiem panować nad sobą i niedawno zdarzyło mi się, iż sędzia zwracał uwagę zdenerwowanemu adwokatowi strony przeciwnej, że „tu przecież stoi kobieta i jest spokojna, a pan...”

U klienteli prowincjonalnej, u chłopów zyskałam dużo zaufania.

— Jakie sprawy najchętniej pani prowadzi?

— O, przedewszystkiem interesują mnie sprawy karne, zresztą i teoretycznie pracuję nad prawem karnem. Poza tem mam dużo zainteresowania do tych spraw cywilnych, które są związane z ziemią, np. sprawy sukcesyjne.

— Znam panią, jako autorkę projektu noweli w sprawie zrównania praw dzieci nieślubnych, opracowanego w Klubie kobiet postępowych — przypominam.

— Właściwie — to za wiele powiedziane. Byłam tylko jedną z członkin Komisji i wiele światła w tej sprawie, którą sformułowałam, dały inne panie — skromnie stwierdza p. Wiewiórska.

Rozmawiamy jeszcze o tem, i o owem, o warunkach pracy w adwokaturze.

— A czy dużo kobiet idzie w ślady pani? — pytam jeszcze.

— Spotykam w kołach prawniczych kilka aplikantek adwokackich; więcej jest ich w sądach. Jedna z koleżanek pracuje w prokuraturze państwa...

— O ile wiem, na wydziale prawnym w uniwersytecie warszawskim też jest sporo kobiet. Nadejdą nowe pokolenia.

Jeszcze raz serdeczne moje gratulacje tej, która pierwsza doszła do celu.

Jadwiga Krawczyńska

UŁAN I DZIEWCZYNA

I

Głos twój idzie mocnym krokiem, w dal siną,
Głos potężny, głos rycerski, pieśń — dziwo —
Wieczna bajka o ułanie z dziewczyną,
Wieczny urok nad godziną szczęśliwą..

Dziwnie miękki i radosny dźwięk mowy,
Płyną tony tak głębokie i mocne!
Na wschód idziem, w kraj nieznany, stepowy,
W nieprzejrzone, dzikie równie północne.

O jak dobrze się powierzyć piosence
I twej sile, co do stóp mi gnie się!
Głos twój bierze mnie, jak dziecko, na ręce
I w stepową dal zamgloną, w dal niesie!

II

Pocałunki na mem ręku płoną,
Dusza silna w nich i krew gorąca —
Mam twój uśmiech — dar radosny słońca —
A w twej pieśni niespodziankę śnioną.

Dla mnie śpiewasz! smutny śpiew napoły,
Lecz w nim życie gorzkie swoją traci —
Ciepło spojrzeń... męski wdzięk postaci...
Od drzwi ukłon ostatni wesoly.

Pęd radosny w jakieś jutro świty,
Wrzenie Życia zuchwale ogromne!

.....
List, jak strzalał słowo: „nie zapomnę“...
.....

I ta tępa, krótka wieść: „zabity“.

III

Strzaskana cudna pieśń — i już z za świata
Nawet jej echo żadne nie dolata,
Choć się wsluchuję, wsluchuję z tęsknotą —

Została jeno błędna wieść: przed laty
Był ktoś, co słał mi uśmiechy, jak kwiaty
I swego głosu szczerodźwięczne złoto.

Ktoś po mnie silne wyciągał ramiona
Znów radość życia, znieśnacka zbudzona,
Swoją triumfalną niosła krzyk tak blisko!

Błysk jakiś przeciął pustkę serca ciemną — —
Może sen tylko majaczy przedemną,
Ujęty w jedno imię i nazwisko?

A. W.

ERNEST WILDENBRUCH

W Y R O C Z N I A

I.

Gdy w nocy nie można spać, — zapomniane oddawna twarze zjawiają się nam nagle dotykalnie; głosy, raz zasłyszane w dzieciństwie i nigdy już potem, mówią do nas dźwiękiem tak znajomym, jak gdyby wczoraj mówiły ostatnio.

I taka to twarz, w taką noc wynurzyła się onegdaj przedemną z przeszłości, taki głos przemówił do mnie.

Twarcz to była chłopca, grubego tłuściocha, jak to mówią, krąglutkiego malca, z którym przez kwartał kolegowaliśmy w zakładzie wychowawczym w Halle.

Ujrzałem go znowu całkiem wyraźnie w kurteczce z zielonego sukna, w kamizelce, wiecznie podciągniętej w górę, w szarych, wiecz nie za krótkich spodenkach, z wielką, okrągłą, wiecznie trochę naprzód zwieszoną głową, na której nosił granatową, sukienną czapkę.

W klasie nie był wcale luminażem, nie żeby był leniwy, ale zawsze senny i rozmazany; poza klasą nie był bohaterem — rozlazły, niemal bojaźliwy, zamknięty w sobie, słowem, co się w żakowskiej gwarze zowie „ciapa“.

Okazywało się to zwłaszcza na gimnastyce, którą w zakładzie uprawiano z zapalem.

Zaraz po pierwszych próbach wpakowano małego grubaka do najniższego oddziału, w którym byli najmniejsi i na słabsi, a i tam był prawie że ostatni.

Ogólna wrzawa zrywała się, gdy „mops“ — takim nazwiskiem ochrzczono go pierwszego dnia po przybyciu — miał się wspinać po linie.

Uczepiony i dyndający rękami i nogami, posuwał się mały, nieporadny korpus parę stóp w górę, poczem zatrzymywał się zdyszany i, łapiąc powietrze, jak ryba wisiał tam tak długo, dopóki gniewne: „no, złaż już“, nie dało mu znaku, że może się zsunąć na dół. Kilka trzepnięć końcem liny po plecach kończyło nieodmiennie tę nieudaną próbę wspinaczki.

„Mamin Synek“ — była o nim powszechna opinia, albowiem z okrucieństwem, z jakim uczniaki zwykły śledzić słabości kolegów, wytropiono już, że po raz pierwszy wyjechał z domu rodzicielskiego i że doń tęskni.

Tęsknota za domem! W skrytości zdejmowała przeważną część tych, co tu siedzieli w zakładzie, może i wszystkich; ale któż widział po-

kazać coś takiego po sobie! Też mazgajstwo!

W pokoiku, w którym go umieszczono, siedział wciąż przy stole. Pracował?

Nie — pisał listy. Wciąż pisał ogromnemi, niezdarnemi literami i wciąż do domu, do matki.

Gwałtem musiał mu gospodarz odbierać papier i wyganiać z pokoju na przepisany spacer popołudniowy po zakładowym parku.

A potem odkryto coś, co było szczytem wszystkiego: wstąpił do zakładu po wielkich ferjach letnich; na Boże Narodzenie czekała go pierwsza okazja powrotu do rodziców, do domu.

Odkryto, że zrobił sobie kalendarz.

Ile dni zostawało jeszcze do rozpoczęcia feryj świątecznych, tyle pionowych kresek narysował na arkuszu papieru. Każdego wieczora przekreślał jedną pionową linię poziomą kreską — o jeden dzień było mniej.

I od rana do wieczora żył jedną tylko myślą, że dziś wieczór znowu przeżyje jeden dzień.

Gdy się to rozeszło, istne piekło rozpętało się nad biedakiem: „Mops, a co tam z kalendarzem?“ „Mops, ile jeszcze dni do Bożego Narodzenia?“ „Mops, dyrektor powiedział, że wcale nie pojedziesz do domu na święta“.

Za każdym razem, gdy malec słyszał to bladł jak ściana, chociaż wiedział, że to był tylko kiepski żart. Wywoływało to za każdym razem olbrzymią wesołość; cóż za głuptas z tego mopsa, Dawał się brać na lada kawał!

II.

Tymczasem przyszła zima, listopad i zrobiło się zimno.

Ćwiczenia gimnastyczne odbywano teraz w zamkniętej hali; na boisku, na którym ćwiczano w lecie, była teraz głucha pustka.

Raz popołudniu, gdy my, pensjonariusze — tak się mianowali mieszkańcy zakładu — zapieci pod szyję w zimowe palta, odbywaliśmy zwyczajny spacer po ogrodzie, spostrzegłem, że pod murem, dzielącym boisko od ogrodu, zebrało się zbiegowisko, stało tam kilku żaków, którzy ze śmiechem przyzywali innych.

Zbliżyłem się wraz z towarzyszami. Dano nam znak, by się sprawować cicho. „Mops ćwiczy“ — szło z ust do ust z tłumionym chi-

chotem. Niech nie zmiarkuje, że na niego patrzę.

„Mops ćwiczy?“

Zajrzeliśmy za mur, parę stóp tylko wysoki, na boisko, leżące nieco w głębi — w samej rzeczy!

Wylazł na belkę poziomą tak niezgrabnie, że w tej samej chwili omal nie stoczył się na drugą stronę.

Tylko energiczne, nieme znaki tych, którzy stali na czatach tam na górze, zapobiegły temu, by już teraz nie wybuchła głośnie wrzawa.

Co u licha wyprawiał ten pocieszny chłopak? Widocznie rozmyślał, czy mu się uda przejść po belce wzdłuż. Ale dlaczego? Po co? Dla rozrywki? Czy też dla wprawy? To nie patrzyło na niego.

Teraz, jak się zdawało, zaświtała mu znowu w głowie jakaś myśl. Mając na sobie paltot, nie doprowadzi swego zamiaru do skutku.

Zlazł powtórnie, ściągnął ze siebie, mimo zimna, kabacik i położył go na tylnym końcu belki.

Widać było, jak marzył; ręce mu posiniały, a palce wyglądały, jak marchewki.

A teraz — co to?

Ostrożnie rozejrzał się wkoło, czy go nikt nie widzi — wszystkie głowy za murem skuliły się i znikły — nie zobaczył nikogo.

I teraz złożył zmarzniete rączki, jakgdyby się modlił.

Modlił się, żeby mu się udało przejść po belce aż do samego końca.

O to się modlił?

W górze za murem zerwało się konwulsyjne wprost parskanie i dławienie — śmiech szalony ledwo już dawał się utrzymać na wodzy.

Na koniec gotów był.

Po raz drugi wyszedł na drzewo i teraz, zostawiwszy obie ręce zdala od siebie, by utrzymać równowagę, z takim wyrazem twarzy, jakby szło o życie i śmierć, rozpoczął swą wędrówkę.

Zrazu, dopóki miał pod stopami grubsza część belki, szło jako tako. Lecz w mare, jak belka stawała się coraz cieńsza, jął się chwiać na dobre.

Mimo to jednak byłby może szczęśliwie dojechał do końca, gdyby pozwoliła na to złośliwość kolegów. Bo teraz nagle wytknęły się głowy z za muru i i rozległy się dzikie wrzaski: „Zlecisz mops! Zlecisz!“

Widać było, że się malec przestraszył.

Wszelako jeszcze nie dawał za wygraną. Desperacko zacisnął zęby i szedł dalej.

Ale teraz zaczęło się gromadne skakanie przez mur.

Jeden z chłopców schwycił oburącz chwiejący się koniec belki i począł trząść nim w prawo i w lewo. Malec nie mógł się już utrzymać.

„Nie!“ — Krzyknął przeraźliwie. Ale tamten trząść dalej.

W chwilę później spadł biedny mops z belki.

Rozległ się ryk śmiechu, a zaraz potem gniewny krzyk.

Mops, który nigdy żywej duszy nie dokuczył, a podczas bijatyk chował się jak ślimak w skorupę, rzucił się jak wściekły na dryblasę, który był powodem jego upadku i jął go okładać pięściami.

Ten, oczywiście, nie został mu dłużny; inni pośpieszyli na pomoc, bo takie zuchwalstwo ze strony mopsa było przecież niesłychane!

A w parę chwil potem leżał biedny malec z rękoma rozpostartymi na belce, z twarzą wciśniętą w ramiona i płakał rozpaczliwie.

Czapka spadła mu z głowy — w tem zimnie wciąż jeszcze był bez palta i zdawało się, że wcale tego nie czuje.

Nareszcie wdali się w to starsi. Przepędzili na bok dręczycieli, którzy wciąż jeszcze natrząsali się z niego, stojąc dokoła, próbowali przemawiać doń po dobremu, pocieszać go — wszystko na próżno. Głuchy szloch, beznadziejne potrząsanie głową było jedyną jego odpowiedzią.

Tak trwało, dopóki nie nadszedł he b d o m a d a r i u s. Każdego tygodnia jeden z nauczycieli miał nadzór nad wychowankami w czasie nauki i rekreacji, a że myśmy tam w pedagogjum byli ogromnie uczeni, przeto nauczyciel ten zwał się z grecka he b d o m a d a r i u s.

W tym tygodniu obowiązek nadzoru przypadł staremu profesorowi Danielowi — człowiekowi wysokiego, tęgemu, niezmiernie dobremu i życzliwemu.

Krzyk i hałas zwrócił jego uwagę, gdy się przechadzał w ustronnej części ogrodu — i przyszedł do nas na boisko tak śpiesznie, jak tylko zdołał przy swojej tuszy.

Nie pytając wiele, podszedł do chłopca, który wciąż jeszcze znękany leżał na belce, szeroką, mięsistą dłonią począł mu głaskać głowę i rozczochrać włosy.

„No mopsiku, no, co ci to zrobili?“

Posłyszawszy przyjazny głos starego nauczyciela, malec dźwignął

się z wolna. Lecz głowę wciąż miał jeszcze spuszczoną. Był czerwony od płaczu i nie przestawał chlipać i szlochać:

„Wdziecież mu paltro! — rozkazał stary Daniel. Czemużeś je zdjął? Na takie zimno?“ — dopytywał się, pochylony nad chłopcem.

Mopsek milczał.

Stary Daniel nie tracił cierpliwości. Miał on serce dobre i mądre; przeczuwał może w tej małej duszce świętą wstydlivość wielkiego cierpienia, które pragnie się skryć przed brutalną ciekawością oczu.

„Nie powiesz mi, mopsku? Mnie przecież możesz powiedzieć!“

Usiadł na niższej części belki; malec stał między jego kolanami, z rączkami w rękach nauczyciela.

„Moja — mama“ — zaczął chłopak — poczem znowu szlochanie nie dało mu mówić.

Szeroka, mięsista dłoń starego Daniela gładziła mu głowę, klepała po plecach.

„Moja mama — pisała — że taka chora — i — i“.

Strumień łez trysnął mu znowu z oczu; rozłożywszy mu ręce, rzucił się nagle staremu profesorowi na szyję. Z biedą można było usłyszeć, co mówił.

„I — i myśli, — że już nie wyzdrowieje!“

Przysunęliśmy się wszyscy całkiem blisko i ucichliśmy, jak maikiem siał.

„Więc — przyszedł tu — i pomyślałem — będzie to znak — od Pana Boga — i mama jeszcze wyzdrowieje!“

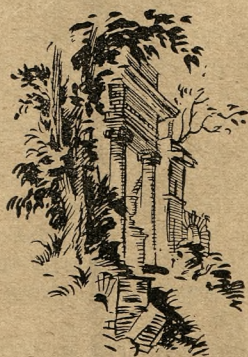
Stary Daniel przycisnął głowę malca do szyi.

„No — i doszedłeś do końca?“

Chłopak zaczął się trząść na całym cielem, jak w febrze. „Kiedym był — prawie już przy końcu, przyszedli oni — i strącili mię!“

Nauczyciel podniósł głowę, a oczy jego, zwykle tak łagodne, przeleciały po nas jak piorun.

Stroskany, pokiwał głową, poczem pochylił się nad chłopcem. „Biedne dziecko — rzekł — biedne dziecko!“



Począł, aż się malec trochę uspokoi. Potem wstał, przycisnął go do siebie i skierował się w stronę zakładu.

„Idźcie i wy do domu — zwrócił się do nas — czas do roboty!“

Poszliśmy za starym Danielem, bez słowa, jak gromada złoczyńców.

III.

W parę dni potem, przed południem, gdy siedzieliśmy w klasie, czekając na nauczyciela, którego jeszcze nie było, otwarły się drzwi i wraz z nauczycielem wszedł stary Daniel.

„Mopsku — rzekł, a po jego głosie poznać było, że stara się mówić spokojnie — chodźno tutaj!“

Malec wysunął się z ławki, stary Daniel wziął go za rękę; wyszli — i mopsek już nie wrócił.

Gdy się nauka skończyła i zeszliśmy z klas na dół, stał tam w sieni zakładu, ubrany w paltro, w czapkę na głowie, w szalik na szyi, mały mops. Kuferek jego, spakowany i zamknięty, stał obok niego.

Cóż to miało znaczyć? Czyżby mały odjeżdżał? Jeszcze przed ferjami?

Stał, zamknięty w sobie, jak zwykle; na pytania nie odpowiadał; niczego się nie można było od niego dowiedzieć.

Po jakimś czasie zeszedł po schodach stary Daniel, również ubrany do drogi.

Cisnęliśmy się ku niemu z pytaniami. Stłumionym głosem dawał nam wyjaśnienia.

Przyszła depesza; matka malca rozchorowała się nagle ciężko i chłopak miał niezwłocznie jechać do domu.

Stary profesor patrzył na chłopca, stojącego na progu.

„Nie mówcie mu nic — on nie wie, że jest tak źle!“

Nie powiedzieliśmy mu nic. Nie zbliżyliśmy się nawet do niego; nie mieliśmy odwagi.

Stracić matkę! — Każdy z nas czuł, co to znaczy!

Dorożka zajechała przed bramę zakładu. Stary Daniel zbliżył się i objął małego ramieniem.

„Chodź, chłopcze, teraz pojedziesz do domu, do mamy!“

Chłopak podniósł głowę; błysk radości przeleciał mu po twarzy.

Chciał podnieść kuferek, ale myśmy go wyprzedzili. Każdy z nas pomagał, każdy czuł instynktową potrzebę wyświadczenia dziecku ostatniej przysługi.

„Bywaj zdrow, mops! Bywaj!“

Dwadzieścia rąk wyciągnęło się ku małej, sinej z mrozu rączce i uściśnęło ją na pożegnanie. Nie-

bardzo wiedział, co się z nim dzieje — widać to było po jego zdziwionej twarzy.

Potem wsadzono go do dorożki: stary Daniel wsiadł za nim i usiadł obok. Z trzaskiem zamknęły się drzwiczki,

Raz jeszcze wychylił się ku nam z okna, wywijając na pożegnanie granatową czapeczką. Z hałasem

ruszył pojazd — a my staliśmy i patrzyli, dopóki powóz nie zniknął z dziedzińca zakładu. Potem odeszliśmy. Nikt nie odezwał się słowem.

Odjechał, nie wrócił już do zakładu.

Nie wiem, czy zastał jeszcze matkę przy życiu — nie widziałem go nigdy więcej.

Nigdy, aż onegdaj w nocy, gdy nagle zjawił się znowu.

Stał przy belce, między kolanami starego Daniela; widziałem białą chusteczkę, którą ocierał białą twarz, słyszałem, jak płakał.

Oby nie przyszedł już nigdy więcej, — bo gdyby przyszedł, nie mógłbym zasnąć.

Spolszczyła Ida Wienierska

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadości)

12. NIECH ŚPI SPOKOJNIE OBU-
DZONA PRZEZ WOJNĘ SIO-
STRA MOJA, KTÓREJ GRÓB
NA KRESACH ROZWAŁIŁ PO-
CISK ZBŁĄKANY.

NIE WIEDZIAŁA, ŻE TO BÓJ
O JEJ I MOJĄ OJCZYZNĘ,
A WTÓREMU MĘCZENSTWU
PODDAŁA SIĘ DLA NIEJ.

Miłość zrozpaczonych rodziców
nie wiedziała, czem uczcić miejsce
jej wiecznego snu.

Trzysta fur ziemi wożono przez
tydzień, aż urósł wedle dawnych
wzorów kresowych olbrzymi kur-
han, odporny na wszelkie katakliz-
my, ciężki, samotny, na nowym
i nie zamieszkanym jeszcze cmen-
tarzu wiejskim.

Przed tą staniczą mogiłą, słał
się stary cmentarz, pagórkowaty,
toczący w dół kule grobów, na-
grobków, krzyżów, Pan Jezusów, Ma-
tekbożych i aniołków.

Był cały jakby spynęła przezeń
rzeka. Zlizany, szary, zamulony.
Z płataniny haszczów, głógów,
wiciokrzewów, strzelały ku niebu
siwe, poturbowane fontanny dłoni
kamiennych, i krzyżów żelaznych,
koślawych i giezeł piaskowcowych,
wszystko spłoszone niewiadomo
dlaczego i spieszące po zboczach,
niewiadomo dokąd.

Nigdy nie było ciszy na tym
cmentarzu.

Przeciwnie.

Był niepokój, był jakiś pośpiech
niepotrzebny nikomu, jakiś przera-
żony zamęt, jakiś głupi, oślepiący
pęd ku dolinie. Ludzie mawiali, że
tam dużo samobójców leży i dla-
tego „porządne nieboszczyki” nie
mają spokoju.

Jedna mogiła mojej siostry była
chmurnej, gorzkiej stateczności peł-

na. Zaryła się twardo, jak posep-
na, wspaniała kwadryga, z przed
której rwie się opętany szal bie-
gunów.

— Po co gonicie? Dokąd? U nas
wszakże spokój, cisza, u nas nikt
przed nikim nie ucieka, nam świat
nie grozi, ani jego sprawy i borby,
bośmy już nieszkodliwi i bezpo-
trzebni! Nas żadna klęska nie dot-
knie, żadne barbarzyństwo nie na-
ruszy naszego snu i naszych do-
mów. Strach nas strzeże.

Aż przyszedł dzień wojny. Dzień
Sądu na Złotej Górze.

Cmentarz wciąż uciekał opodał
po zboczach, w dół, ale teraz istot-
nie ludzkie sprzeczki i gniewy go-
niły za nim wściekłym huraganem.

Raz wraz wylatywała między
Pan Jezusem bolejącym, a roman-
tyczną kolumienką, stara grusza
dzika w powietrze, korzeniami do
góry, dookoła których uczepione
były, niby do wigilijnej choinki,
ludzkie piszczele i kosteczki uwa-
lane błotem.

Raz wraz waliła się z hukiem
jakaś urna, w blaszane listeczki
bluszczu spowita niewinnie — ja-
kiś pocieszny i żaloszny zarazem
aniołek zezowaty, niosący od stu
lat tabliczkę z szerniałych nieza-
budek: „śpij dziecinol” czyje-
muś niemowlęciu.

Raz wraz ułamywały się z łosko-
tem jakieś poszczerbione, siwe, ka-
mienne ramiona patetyczne — ba-
niasta głowa jakiejś świętej leciała
łukiem bezwładnym w nicość, a za
nią, jak za kometą, długi ogon bia-
ławego tynku.

Grzmoty drelowały, wyluskiwały
wnętrza grobów. Wokół zaś roz-
walonych domów umarłych, pło-
nęły domy żyjących na hory-
zoncie.

Cmentarz uciekał w dół, a za
nim gnała jak sfora psów zawieru-
cha wojny zajadła.

Mogiła mojej siostry była wciąż
nietknięta, mimo że górowała na
pustce bezdrzewnej, nieosłonięta.
Ale właśnie wśród nagle spadłej
ciszy (cisza trzeba wam wiedzieć,
pada w bitwie głośniejsza, niżli huk
armaty) palnął pojedynczy, samot-
ny pocisk, akurat w trzy ćwierci
kurhanu. Ziemia rozstała się błys-
kawicą, dwoma wachlarzami gliny,
przerżnięta w pół niby bochen ra-
zowego chleba, aż do najgłębszej
warstwy, aż do trumny srebrzystej
aż do kruchych, cieniutkich nóg,
dziewczęcych — Siostr! Siostr!!

Nie wiedziała, że to bój o jej
i moją Ojczyznę, a wtóremu mę-
czeństwu poddała się dla Niej.

13. NIECH ŚPIĄ SPOKOJNIE NIE-
SZCZĘSNE OFIARY BOLSZE-
WIZMU, KTÓRE GINĘŁY SA-
MOTNE, W MĘCE NIEWYPO-
WIEDZIANEJ, ABY POWSTAĆ
MOGŁA MOJA OJCZYZNA.

Pankratow był głównym katem
czerezwyczajki moskiewskiej. Jako
przyjaciół poprzedniego kata, Emal-
janowa, odziedziczył po nim chlu-
bne funkcje, oraz sześciopudową
krasawicę, Eufrozyne Iwanównę.

Urodził się w Riazańskiej guber-
nii, w dostatniej, spokojnej, muży-
ckiej zagrodzie, u rodziców bogo-
bojnych i dobroduszných.

Miał jasnocytrynowe włosy rzad-
kie, twarz z lekka sinawą, oczy
błyszczące jak żużle, szerokie ba-
ry, dwadzieścia siedem lat, wspa-
niałe mieszkanie na Strieteńce i,
jak się wyżej rzekło, pierwa-
wo-kłaśną kochankę Eufrozyne
Iwanównę.

Tej kochance znosił pierścienie, zegarki, kolczyki i herbowe papierośnice z tklwym ferworem, otaczał ją też czułą opieką i pieśszcztami, ale niechnoby spróbowała spytać Eufrozyna Iwanówna o detale: na przykład dokonanych przez miłego egzekucyj!!! Wtedy skądinąd subtelny Pankratow wpadał w ślepy szal i, milcząc, pięściami okładał tłustą twarz kochanki, aż do zupełnej jej nieprzytomności.

Ha! trudno!

Eufrozyna Iwanówna kładła na jutro kompresy na zniekształconą do czerwonej poduszki podobną fizjognomję, z żałością konstatając, że najszlachetniejszy nawet mężczyzna ma swoje słabości.

Drugą miał jeszcze słabośćkę Pankratow.

Mianowicie pasjonował się do złotych plomb w zębach. Ot kolekcjonerstwo, jak każde inne.

Zaledwie padł skazaniec po jego strzale, względnie po wyrznięciu kolbą w kark, rzucał się Pankratow ku niemu, obracał twarz martwą do światła i z wprawą zdumiewającą wyluskiwał złote zęby ze stygnących, okrwawionych szczęk.

Dziwna rzecz! — zostawiał nieraz nowiuteńkie buty, brylantowe pierścienie, zegarki, swoim pomocnikom, ale zęba plombowanego nie darował nigdy.

Drżały mu ręce na widok ust otwartych, w których lyskał dyskretnie złoty opilek, biegały niecierpliwe oczy, spazm chwytął za gardło.

— Bezumieć... dziwiły się czasem żołdacy, ale ostatecznie woleli przecie, aby brał zęby, a im zostawiał zegarki i pierścienie, niż zęby miało być naodwrot.

Pewnego dnia przyprowadzono mu uroczą kontrrewolucjonistkę, z rozkazem „pod ścianę“.

Zachowywała się jak wszystkie mniej więcej, to jest dość głupio, błagając jego, Pankratowa o łaskę, klękając przed nim, czółgając się, jęcząc i targając cudowne, popielate włosy.

Oczywiście nic sobie z tego nie robił. Były to akcesorie do jego funkcji. Te krzyki, te lamenty, te gesty, dodatki prawie nieodzowne, które już dawno przestały go wzruszać i zajmować. Straciły dla niego smak bo był czas, kiedy smak miały, ostrzący, piekący, jakby paćkę gryzł madziarską i zaciągał się najlepszym tytoniem.

Niech pokrzyżają, niech pojęczą, ich rzecz! Swoją drogą czasem, gdy za długo te komedie trwały, walił „w mordę“ milcząc, jak Eufrozynę Iwanówną, raz za razem, z tępą, wzmagającą się wściekłością, ale to się rzadko zdarzało. Cza-

sami przeciwnie: właśnie kiedy ktoś zanadto wyniośle, zanadto wzgardliwie szedł w jego ręce, walił „w mordę“. To również rzadko się zdarzało.

Teraz obojętnie związał młodą kontrrewolucjonistkę, broniącą się jak kurczę, słabiutko i śmiesznie — obrócił twarzą do muru, jak lalkę, ręce jej uczepiwszy do żelaznych kółek w ścianie i cofnął się do strzału o kilka kroków. Zaledwie to uczynił, wszedł nagle żołnierz z kartką, z krótkim rozkazem: puścić kontrrewolucjonistkę!

Oto mała, zwyczajna pomyłka — pomieniano nazwiska, czy wzięto za kogoś innego — czy potrzebna jeszcze była do konfrontacji) —

Pankratow skłął żołdata i zaczął rozwiązywać rzemienie, ale kiedy dziewczyna w ogłupieniu, w obłędzie, roześmiała się spazmatycznie, przyczem ukazała dwa zęby złote w różowej palisadzie dziąseł — drgnął Pankratow.

— Nu... puścić to puścić, ale zęby jej Bohu mojej!

Struchlała dziewczynę, do pół jeszcze skrępowaną, położył sobie na kolanach i szamoczącą się ostatkiem sił, wyrwał sprawnie dwa zębki upatrzone, potem skropił ją wodą i czekał aż wróci do przytomności.

Z malutkich ust pokaleczonych i rozdartych ciekł wolno sznurek krwi, żołdat obojętnie patrzył na scenę, o bagnę oparty.

— Sygrajcie czo to nibut... rzekł niespodzianie Pankratow. Żołdat uśmiechnął się przyjaźnie, odrzucił karabin, oparł się o skrwawioną, obryzganą móżgiem, upiorną ścianę, wyciągnął harmonijkę i zadrumał:

— ...poczemu ja bezumno lublju...

To była trzecia słabośćka Pankratowa.

Lubił harmonijkę ponad wszystko i nieraz, kiedy za dużo miał roboty, kiedy czelusie Butyrek, Łubianek i Weczek zbyt liczne przesyłały mu transporty na rozstrzał i poprostu ręce mdlały jemu od strzelania, od bicia, od razów pięścią, które mi uśmierzać musiał czasami głupców, nazbyt do życia przywiązanych — kazał żołdatom grać.

Trzy, cztery harmonijki grały — krasawe romanse — sarafana, albo kamarińskiego — cieniutko, żwawo do wtóru salwom, krzykom przeklętym, jękom, czkawkom i stentorowym obliczeniom dzielących się garderobą:

*) Autentyczne.

— ...piat rubach... siem worotnikow... bielij żiljet... pantalony...

Pankratow pogardzał garderobą zabijanych.

Po operacji wrywania zębów, wracała domniemana kontrrewolucjonistka do swojej celi, oszałała ze szczęścia, z ceglastermi wypiekami na twarzy, z pokaleczonemi ustami. Wracała jak z tamtego świata. Witwały ją oczy ucieszone, lub pełne tajnej zazdrości — słuchano ze zgrozą jej szeptanej opowieści.

Każdy z nich ofiarowałby dzieśięć tysięcy zębów własnych, gdyby je miał i gdyby mógł, byle żyć — byle żyć!

Straszną cenę miało życie dla nich!!!

Im dłużej siedzieli w udręce czekania, tem kruchsze stawały się podwaliny ich dumy, ich obojętności, ich godności.

Wszystkie typy, wszystkie lata, wszystkie rodzaje, mieściły się w tej okrutnej, ciasnej przestrzeni więziennej.

Były nawet dzieci.

Piotruś Ossipowicz Pokolniss nie mał ponad lat osiem, a czekał śmierci jako ważny „spion“. Przyłapano go, gdy kradł ziemniaki na polu, a nieszczęście chciało, że pole to akurat leżało o parę kroków od linii bojowej. Sprali go batami, choć się tłumaczył, że to ojciec kazał kraść i zamknęli w Butyrkach.

Kiedy przyszła nareszcie godzina jego, ta ostatnia, i otworzyły się drzwi celi:

— Piotr Ossipowicz Pokolniss! z rzeczami! huknął znany głos komisarza śmierci, Sajenkowa.

Wiedzieli wszyscy co znaczą złowrogie słowa „z rzeczami“! wiedział mały Piotruś, ale niebardzo sobie zdawał sprawę ze śmierci, więc szedł dość raźnie ku drzwiom, z tobołkiem, rażniej niżli to czynili w takim wypadku starsi. Raptem z poza pleców Sajenkowa, wysunął się morus w skózanym, bolszewickim mundurze, nie o wiele od Piotrusia większy, ni starzy.

— Tatku! — wrzasnął namiętnie — obiecywałeś mi dać rozstrzelać kiedyś jednego z nich... tego mi dasz! Spodobał mi się! Mój tatku! daj mi tego rozstrzelać, mnie samemu*)...

— Kak chcesz, Griszeńka — uśmiechnął się pobłaźliwie Sajenkow i wtedy — dziwna rzecz! — ten sam mały Piotruś Ossipowicz, który szedł rażno w ręce dorosłego oprawcy, stanął jak wryty. Dwoje dzieci patrzyło sobie teraz w oczy i coś strasznego musiały powiedzieć oczy Griszeńki, bo Piotruś rzucił się całem ciałem na ziemię

i zaczął krzyczeć wysokim, przeraźliwym, zwierzęcym wprost rykiem: — „ja ne chaczull!

Cela i na to patrzyła w milczącym odrętwieniu, tylko niektórzy zasłonili sobie zbielejące twarze, drudzy zatkali uszy palcami. Jeden jedyny Karoli, głupkowaty jeńiec niemiecki, wybuchnął śmiechem.

Właśnie w owych dniach, kiedy imiennik jego, graf Karoli, organizował triumfalne na Węgrzech święty, on, człek pospolity, żaden graf, tapicer natomiast, czy piekarz, z zapadłego niemieckiego miasteczka, posadzony o pokrewieństwo z „arystokratami, z grafami Karoli,“ gnił w sowieckim więzieniu.

Tak się dziwnie mścił duch rodu Karolich...

Pełna była po brzegi cela.

Czekał na śmierć nieuniknioną, nieludzką, dawny carski minister spraw wewnętrznych, Makarow, dumny pan, zacięty, wyniosły, z jakąś martwą pogardą traktujący opawców, czekał Tatyszczew, dawny dowódca korpusu żandarmskiego, czekał pyszny książę Dołgoruki, adjutant i osobisty przyjaciel Mikołaja II, czekał Dżunkowski, gubernator Moskwy i Kniazew, generał gubernator Irkucka, czekał generał Skrydłow, brat admirała, z żoną i synem, czekała dziesiątka biskupów prawosławnych i prokurator Synodu...

Wiedzieli, że nic ich nie uratuje.

Ochodzili powoli, jeden po drugim, aby już nigdy nie wrócić — pisali listy pożegnalne, które nigdy nie dochodziły — palili nerwowo „fajkę pokoju“ z socjal-rewolucjonistami (na pożegnanie, bracie, ja, monarchista, zapalę z tobą fajkę pokoju, na progu wieczności, bracie“...), płakali, lub zacinali się w niesamowitem milczeniu, jak Makarow, jak Dołgoruki — lub wychodzili z celi w śnie prawie że somnambulicznym, uśmierznięci, jak na przykład baronowa Majdel, siostra rodzona Borysa Sawinkowa, późniejszego zdrajcy, lub czołgali się u nóg zbirów w obłąkaniu, w szale rozpacz, niemającej nazwy. Niektórzy zaś poprostu wieszali się na własnych szelkach, czy pociętych koszulach i rozrywali sobie żyły kawałkiem drutu. Ta „kontr-

rewolucyjna“ operacja udawała się czasem, a czasem docucano ich i dzieła dokonywał Pankarow — tym razem nieomylnie.

Lub dokonywał... tyfus.

Ginęli na tyfus plamisty jak muchy. Szpitale były przepełnione, walono pokotem konających na podłogi nigdy niemyte, rojące się od pluskiew, karakonów i wszy — na żelazne prycze, w chlującą od wilgoci słomę, po pięciu, po sześciu. Szpitale były gorszym piekłem niżli więzienna cela, zaczęli więc ludzie umierający w czterdziestostopniowej gorączce udawać zdrowych, aby ich nie zabierano z cel do szpitala, choć nikt nie miał nic przeciw spokojnej, własnej śmierci.

Jeżeli kto miał chorego przyjaciela lub kolegę, to, znając godzinę wizyt quasi lekarskich, kładł mu zimne kompresy, aby ochłodzić jego czoło i ręce i oszukać lekarza, wmawiając, że ten nie jest chory ani trochę, tylko śpi. Chory zaś nie spał, tylko mrzył nieprzytomny w piekielnej gorączce i tak przechodził niejedną w zaświaty, cicho i łagodnie, pod czułą opieką przyjaciela.

Dzienniki urzędowe zapowiedziały, że „14 janwara“ zniesiona zostanie kara śmierci w Moskwie. Więc — rzecz prosta — 13-go zaczęto od świtu rozstrzeliwać więźniów. Masami wyprowadzano ich z cel — strzały huczały we wszystkich piwnicach, kurytarzach, w parku Piotra Wielkiego, pojedynczo i salwami. Krzyki rozdzierały powietrze nieznośnie, a wśród tego urywanym staccatem, burczały odjeżdżające w dal samochody.

Rano wprowadzono małego człowieka do butyńskiego więzienia. Mał przestrzeloną czaszkę i przestrzeloną również język. Mówić nie mógł, lecz wszystkimi możliwymi znakami dawał do zrozumienia towarzyszom, że skazany na śmierć i prowadzony na egzekucję ocalał dzięki temu, że żołdacy zgórowały. Będzie żyć!

Szalał, wiercił się, śmiał się jak dziecko do łez, choć paliły go ra-

ny, a opuchły język wypełniał całą jamę ustną, dusząc go i dławiąc. Nie mógł się życiem dość nacieszyć. Wciąż przed tym i owym stawał skrwawiony, siny, radosny i opowiadał palcami, rękami, czciami jak długo już siedział w „okręcie śmierci“, jakie przeszedł tortury, jak mdlał wleczony na egzekucję i jaki jest teraz szczęśliwy, jak niewymownie szczęśliwy... Jutro kończy się kara śmierci w Moskwie, więc nic mu już nie grozi, nic zrobić nie mogą — będzie żył!

Nie skończył opowiadać po raz setny swoich dziejów i swojej radości, kiedy zgrzytnęły drzwi wchodowe i rubaszny głos Pankratowa zapytał, od progu, gdzie jest ranny. Dojrzał go zresztą sam:

— Chodź, a prędko!

Przekrwione gałki oczne stanęły najpierw w słup, a potem zaczęły z pod powiek wyłazić, wyłazić, coraz bardziej, na wierzch, jakby na kołki nadziane. Ręce dotykały w pomieszaniu głowy i ust: przekonać się, chciały, że przecież niczego nie kłamał, że nic z tego nie jest snem, że był raniony przy egzekucji, ułaskawiony, że go już zabić nie mogą — nie mogą — absolutnie nie mogą — prawda?

Nikt nie odpowiadał na te wątpliwości, na te sprawy.

Pankratow zniecierpliwiony czekaniem podszedł.

— Nu, idiosz? a kiedy ranny wciąż stał zdrętwiały, zarzucił mu płachtę na przerażoną twarz i wypchał za drzwi, choć się ten miękko czepiał odrzwi i stołków, gdańkaniem jakimś i piskliwym fałszem dając znać o swoim strasliwym niepokoju.

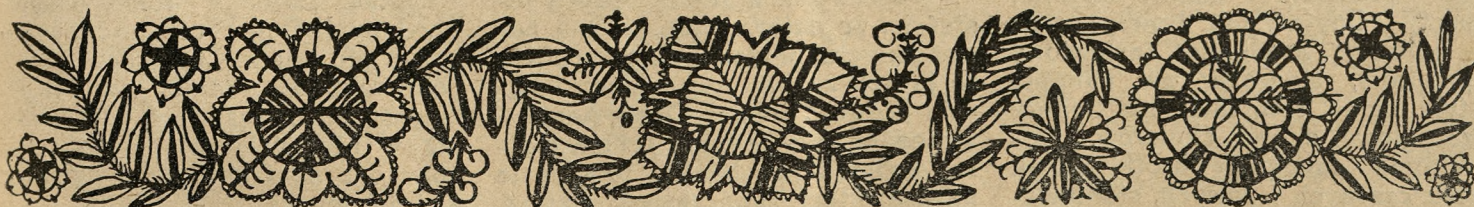
Znowu te akcesoryje, tak dobrze znane Pankratowi!!!

Po długiej, długiej chwili, runął głuchy strzał, nawet gdzieś blisko, w jakimś sklepionym dziedzińcu, bo echo załopotowało kilkakrotnie i nastała cisza, aż ją znowu rozdarł inny głos.

Turkotał tym razem niecierpliwy motor samochodu. **)

Śpij człowieku, nieznany nikomu, z najwyższego djapazonu radości wyrwany brutalnie i ciśnięty w nieustępliwe objęcia śmierci. Sojcie wszyscy męczennicy obcej sprawy, która się stała nad-podziwanie sprawą mojej Ojczyzny. (c d n.)

**) Wszystkie szczegóły autentyczne. Patrz wspomnienia Nadeždina, Czernowa, Czumakowa, Sutużonki, Bekreniewa, w zbiorze wydaniu p. t. — TCHE KA, traduit du russe par E. Pierremont.



1)

WANDA MIŁASZEWSKA

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

I.

Stara i pomarszczona kobieta wprowadziła mnie do wnętrza. Był to ten sam wielki, nieco ponury pokój, z surowym obiciem w ciemne kwiaty. Tak, poznałam go od razu. Na połupanym kominku, w miejscu, gdzie stały zawsze wazoniki chińskie, osiadła gruba warstwa pyłu. Sprzęty powynoszono, lecz te, które zostały — nieliczne — zdawały się przychylnie spoglądać w moją stronę, wspominając dawną zażyłość.

Zwłaszcza kanapa, ta śmieszna kanapa z wielkim oparciem, stojąca na pokracznie wykrzywionych nogach...

Ileż razy gramoliłam się na nią, wczepiając dziecinne piastki w grubo kręconą frendzlę, którą była oszyta! Kawalek tej frendzli, dawniej szczerzółatego koloru, dziś barwy nieokreślonej, zwisał się jeszcze z jednego boku. Naddarte i przetarte w wielu miejscach obicie ukazywało strzępki waty, czy pakuł, którymi wypchany był szanowny mebel...

Przy całym zniszczeniu, przy całej wyblakłości swojej, jakże niewiele zmieniła się kanapa ciotki Eufemji Klimontowskiej! Znaczne wgłębienie środkowej części zdawało się zachowywać jeszcze szeroki odcisk kształtów korpulentnej damy. Tu właśnie, odkąd siebie i tę kanapę pamiętam, w tym miejscu siadywała niezmiennie ciotka Eufemja Klimontowska, żartobliwie przez Janusza „ciotką rodu” zwana.

Jakże odległych czasów sięgają te wspomnienia! Byłam jeszcze zupełnie malutka, gdy po raz pierwszy przestąpiłam próg tego pokoju. Wysoki, dębowy próg wydawał się mým czteroletnim stopom trudną do przebycia zaporą, zwłaszcza, że za nic w świecie nie odważyłabym się wychylić do głowy z fałdów matczynej spódnicy.

Było to o zmierzchu, o wczesnym, zimowym zmierzchu i w pokoju, na okrągłym stole paliła się lampa z przymocowanym do abażuru kawałkiem w kilkoro złożonej gazety. Gdyśmy tak brnęły przez tę ogromną bawialnię, zastawioną sprzętami, siedząca na kanapie otęła dama spojrzała, nie podnosząc głowy, z nad okularów. Dotychczas pamiętam krótki błysk oczu czarnych i żywych, stanowią-

cych niezwykle kontrast z opuchłą i pomarszczoną oprawą niemal bezręśnych powiek.

Pani Eufemja Klimontowska robiła na drutach czerwony, włóczkowy szal, krórego wykończona połowa spływała po tłustych kolanach aż do ziemi. Nie odkładając drutów, powstrzymanych tylko w ich migotliwym błyskaniu, stara dama patrzyła czas jakiś uważnie bez słowa. Patrzyła raczej na matkę, niż na mnie, a jej fałdliste oblicze nie wyrażało żadnych specjalnych uczuć, złych, czy dobrych: widniało zeń tylko oczekiwanie.

— Przyjechałyśmy... — rzekła moja matka cichym głosem i nagle, z determinacją, odgarniając fałdy sukni, dorzuciła pośpiesznie:

— To jest właśnie Krysia.

W ciszę, jaka nastąpiła po tem oświadczeniu, wpadł nareszcie dźwięk głosu. Głosu tego również nigdy nie zapomnę. Zdawał się wydobywać z pod ziemi, z głęboka, a jednocześnie miał w sobie jakiś ostry, zgrzytliwy ton, taki, jaki wydaje stare żelastwo, uderzone młotkiem.

— No! — powiedziała „ciotka rodu”, odkładając na bok druty. — Mamy teraz, chwalić Boga, grudzień, a tak — wyciągnęła palec w moją stronę — można chodzić w środku lata, jeżeli wogóle dziewczynie wypada pokazywać gołe nogi.

Nie zrozumiałam dobrze treści słów, ale na sam dźwięk głosu łzy napłynęły mi do oczu. Byłabym z pewnością wybuchnęła płaczem, pogrążając w rozpacz biedną mamę, gdyby nie nowy, niespodziewany incydent: Oto tłusty mops, którego nie zauważyłam dotychczas, uniósł potworny swój łeb z poduszki i prostując się na kabłąkowatych nogach, ukazał w szerokim ziewnięciu otchłań czerwonej paszczy.

To wydarzenie tak całkowicie pochłonięło moją uwagę, że nawet nie dosłyszałam lekliwych objaśnień matki. Dopiero gderliwy głos starej damy przywołał mnie do rzeczywistości:

— Jeżeli już w takiej pozycji jesteście, że dziewczyna nie ma nawet całych, porządných pończoch, to ja jej zrobię na drutach i będzie je odtań nosiła. Cicho, Acan! — wypowiedziała jednym tchem ciotka, spoglądając bardzo przyjaźnie na psa, który skończywszy ziewać,

zawarczał głucho, jakgdyby teraz dopiero zauważył obcych przybyśzów.

— Doprawdy.. cioteczko.., tyle dobroci... — zaszeleścił znów cichy głos mej matki.

— Jestem ciotka. Tak mię nazywaj. Ciotka Eufemja. Nie cierpię tych wszystkich waszych spieszczeń! — mruknęła dama, poczem pocałowała mamę w czoło, a mnie w okolicę ciemienia. Jednocześnie głowa moja, przygwożdżona ręką „ciotki rodu” zniknęła całkowicie w fałdach szerokiego kaftana, wypełnionego zaiste imponującą obfitością ciała. Od tej pory zapach piżma, lawendy i trociczek, którymi przepojona była, nie wiem już teraz, suknia, czy skóra otylej damy, stanowi dla mnie nieodłączną całość z jej wspomnieniem, tak samo, jak mops Acan i ruda kotka, imieniem Waćpani, faworytka całego domu.

W przeciwieństwie do mopsa, którego, oprócz fizycznej brzydoty, cechował nader przykry charakter, Waćpani odznaczała się pełną wdzięku pieszczotliwością. Nawet wtedy, gdy wypadło jej skarcić któregoś z młodocianych figlarzy, zbyt natarczywie nastającego na jej spokojne, poobiednie far-niente, czyniła to z gracją. Wczepiała w dziecięce ramiona ostre pazurki, ani na chwilę nie rozwierając pół-przymkniętych powiek, kryjących szmaragdowy blask oczu. Pełen zadowolenia pomruk, dobywający się z jej gardła, nie ustawał przytem ani na chwilę, zupełnie, jakby Waćpani prawiła słodkim tonem kazanie: „A widzisz, kochanku, nie zaczepiaj mnie, gdy tu sobie wypoczywam w ciszy, bo to nieładnie być natrętnym i naprzykrzać się bliźniemu, choćby nawet tym bliźnim był... zwykły kot domowy...”

Skończywszy, z tem samym łagodnym mruczeniem chowała pazurki pomiędzy miękkie poduszeczki łap i zamykała zupełnie oczy dla zaznaczenia, że sprawę uważa za załatwioną.

Ciotka Eufemja wołała mopsa. Wychowała go od szczenięcia, ucząc pić mleko „po palcu”, gdyż pokraczne stworzenie, wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku, już w niemowlęctwie zostało pozbawione swej naturalnej opiekuńki i żywicielki.

Kiedy przybyłam do Klimontowic, mops liczył blisko piętnaście lat życia i srodze cierpiał na astmę. Ten właśnie szczegół, być może, przyczyniał się w znacznej mierze do bałwochwalczego przywiązania, jakim darzyła ciotka swego ulubieńca. Kaszląc i sapiąc oboje, patrzyli na siebie pełnym współczującego zrozumienia wzrokiem.

W rzadkich chwilach rozserdeczenia lubiła ciotka opowiadać o młodych latach mopsa. Opowieści takie były specjalnym faworem, to też każdy z domowników słuchał po stokroć tych samych historii, usiłując nadać swej twarzy wyraz jak najgłębszego skupienia...

— Gdybyście widzieli, jaki on był śliczny i miłutki! Od chwili, gdy nauczył się biegać, nie opuścił mnie nigdy nawet na kilka godzin. Sympiał w nogach łóżka i jadł tylko z mojego talerza... Szerść miał ciemniejszą, miększą niż teraz i pachniał tak przyjemnie...

Tu ciotka zwykle wzdychała i dodawała po pauzie:

— Zapach młodych szczeniąt, to dla mnie perfuma...

Chrapliwy, ostry jej głos nabierał cieplejszych tonów, ilekroć zwracała się bezpośrednio do Aca-na. Pod szczęśliwą gwiazdą urodził się ten pies, jedyne w całym domu stworzenie, które nie odczuwało zmiennych humorów ciotki Eufemji, zależnych od pór roku, dni, miesiąca, a nawet specyficznych godzin dnia.

II.

Mój Boże! więc prawie całą godzinę spędziłam w tym starym pokoju, na wspomnieniach, nie zdając sobie sprawy, że czas mija!

Dopiero na dźwięk obcego głosu ocknęłam się z zadumy. Baba stała w obramowaniu tęgiej, dębowej futryny, podobna raczej do malowidła starej szkoły niemieckiej niż do żywego człowieka — i patrzyła na mnie przenikliwie.

— Myślałam sobie, — rzekła wreszcie. — Co to się stało, że pani z powrotem nie widać? Powiada wreszcie mój stary: zmierzch ciut, ciut, trzeba zajrzeć, co się tam święci!

Zaczęłam przetrząsać woreczek i wręczyłam kobiecie trochę pieniędzy, mówiąc z zakłopotaniem:

— Dziękuję wam, moi kochani. Dziękuję i przepraszam. A jeśli tu jeszcze powrócę, otworzycie mi, prawda? Widzicie, ja ten dom znam od dziecka. Pamiętam...

Dziwna jest ta potrzeba wywnętrzania się przed bliźnim. O! co babie do tego: przyszłam, to przyszłam. Nikt mi tu przecież

podejrzewać nie będzie, że przyszłam naprzykład kraść pajęczynę, zasnuwającą puste kąty... Zachciało mi się posiedzieć tutaj godzinę, więc posiedziałam. I nagle mamrocze coś, jakam się, jak pensjonarka przy tablicy — i to przed kim? Przed obcą kobietą, która tu jest od niedawna i której niewiele zależy na wiadomości, od kiedy znam ten stary dwór...

Widocznie moja baba rozumowała podobnie, gdyż, nie przyjmując datku, odezwała się znowu:

— A dobrze, dobrze. Niech paniusia przychodzi, ile jej się spodoba! Zawsze ktoś otworzy. Nie ja, to stary. A te papierki, to niech se pani schowa. Jak się nasz mały na książkę nauczy, jeszcze my pani pięknie dziękować będziemy.

Mały? Aha, to ten, z dużą głową, wnuczek. Jak to mu? Teoś. Prawda, Teoś. Siedzi pod oknem na trzeciej ławce i struże blat stołu, ilekroć myśli, że tego nie widzę. Dobrze moja kobieto. Zapamiętam sobie Teosia. Wyuczę go przez zimę. Na „majowe..” będzie już czytał z książki, wobec calutkiej wsi. Dobrze.

Wróciłam potem do domu nie przez wieś, ale łąkami. Droga o połowę krótsza i dwa razy piękniejsza. Jak doskonale, po dziś dzień, pamiętam każdy zakręt maleńkiej rzeczki! Najpierw idzie się trawą jasno-zieloną, spłowiałą, od słońca. Trochę niżej, już w dole, rośnie jakiś nadwodny gatunek, o liściach długich, wąskich i chropawych. Szeleści to pod nogami, łamię się w sztywne zygzaki. Rośnie w kępach, między którymi prześwituje woda. Trzeba stąpać umiejętnie, zagarniając za każdym krokiem pokos tej trawy, niby żywy, zielony pomost, by nie przemoczyć trzewików. A jeszcze dalej, w trawie, która się znowu staje krótką, tylko mocniejsza w kolorze i gęstsza, widnieją, stosownie do pory roku żółte kaczęńce, lub modre oczka niezabudek, czasem te nieśmiałe kwiatuszki na różowych łodygach, całe jakgdyby z mgły i z rosy utkane. Zerwiesz

je — i giną ci w ręku, maleją w oczach, gasną.

Dalej od rzeczki, w miejscach bardziej suchych, łąka aż pstrzy się od kwiatów. Na wiosnę są to przeważnie jaskry, świecące bezczelnie, jak wyczyszczony mosiądz, trochę drobnych dzwonek, kwitnące trawy.

Później — łąka staje się już to krwawa od wysoko wybujałych szczawików, już to błękitnie-liljowa od skabiozy, rozpanoszonej tu we wszystkich odmianach gatunku i barwy.

W tej chwili są jeszcze skabiozy, choć to koniec września. Lato było dosyć wilgotne, pewnie dlatego łąka wygląda dotychczas tak świeżo. Więc te skabiozy, od tylu lat, kwitną rokrocznie tak samo?

„Boże mój... Boże mój” — Idąc, powtarzam sobie z zachwytem, potrosze ze smutkiem, te dwa wyrazy. Znowu charakterystyczny szczegół: ilekroć byłam w tem miejscu, tu właśnie, gdzie rzeczka nagle zakręca i srebrzy się pod światło, — powtarzałam zawsze te same słowa. Piętnaście, dwadzieścia lat temu... Dawniej..

Mój Boże! Mój Boże!...

Mój Boże... Zachwyt mam w sercu ten sam, lecz smutek jakiś nowy. Postarzałam od wczoraj tylko o dzień, a zdaje się, że chyba o lat dziesiątek.

Kiedy wchodziłam przez bramę do tej cienistej alei lipowej, byłam bardzo samotna, ale nie czułam ciężaru tej samotności na barkach. Człowiek tak długo nie jest sam, jak długo sobie tego nie powie. A cóż ja powiedziałam sobie wczoraj? No, cóż — to sobie mogłam powiedzieć, wróciwszy do małej, ciemnej izdebki, w której własnymi rękoma co wieczór zapalałam lampę? Musiałam sobie powiedzieć coś, co jest prawdą bezwzględna: Stara już jesteś i bardzo samotna, moja Krysiu. „Taki już porządek na świecie, rybeńko!” — westchnęłaby Balbina, która w latach mojego dzieciństwa miała najpewniejsze lekarstwo na smutek wszelki i gorzkie strapienie: gruszki suszone i śliwki, nadziewane kminkiem...

Ale niema Balbiny, niema gruszek, niema wogóle nic z owych czasów, oprócz mnie samej — i nic tego nie zmieni, nawet fakt, że się tu na starych śmieciach znalazłam. Jestem na tych śmieciach jak liść, wiatrem zagnany. Jutro kierunek wiatru zmieni się i — fiut! — żegnaj, mój liściu! Szukaj sobie innego miejsca na świecie, innego schroniska, gdziebyś przylgnęła całą duszą, nim cię los znowu oderwie i hen odniesie. (c. d. n.)



Od liryki do epiki, od weltszmercu do dogmatu

Opowieść o tem

„Jak zakwitła we włosach anioła gałązka uśpionego wawrzynu”

I. K. Iłakowicz—„Śpiący Stróż”



bliza się dla wygnanców chwila powrotu. Wszystkie troski, wszystkie lęki, wszystkie upragnienia, jakie łączą się z myślą o zawitanii do stron rodzinnych zawarła Iłakowiczówna w zbiorze „Koledy polskiej biedy” — w wigilię powrotu (Pietrograd 1917).

Dużo tu nut ogranych, efektów zużytych i nadużytych, zbyt wyraźnie upomina się o swoje prawa Konopnicka i Lenartowicz, ale niekiedy przez spletaną sieć niedociągnięć artystycznych i przeciągnięć literackich wybiję się na wierzch ostry kontur wycinankowy, prymitywna barwność oryginalnie i bezpośrednio wyczutego obrazu.

„A czy będzie Wigilia przygotowana, a czy obrus położą, zaścielą siana?”

A potem cały szereg tych drobniactw, do których na obczyźnie tęskni się po dziecinności, z tem specjalnem rozręznieniem i sentymentem, jakie się ma dla pamiątek rodzinnych, dla pierwszych zabawek i dla starych, wyrośniętych sukienek.

„...czarny mak, utarty drobno w donicy? A czy będzie i kutja jak od lat wielu i śliziki i wielka misa kisielu. Barszcz, jak rubin czerwony, jak woda czysty. Szczupak — szary, ogromny i uroczy”.

A wszędzie troska tak naturalna u tych, których tam, w dalekim domu może już wykreślono z serca i pamięci.

„Gdy siądziecie na ławie, zebrańni spolem, Czy zostanie nam trochę miejsca za stołem? Gdy podzieli się kołem cała gromadka, czy zostanie nam aby okruszek opłatka?”

Wiemy dobrze, my wszyscy, którzyśmy przeszli trudy wygnania i męki powrotu, jak gorzkim był nieraz ten „okruszek opłatka” dla gości nieczekanych. W „Śmierci Feniksa” rozsypał się on na „piasek mialki z makiem zmieszany pospołu”. „Przebieram zaczarowany mak na potrawkę dla biesa: Landru... Lloyd George... Foch... Traktaty. ...Proces mordercy Jaurresa.” Już nie wędrówka z latarnią po kresowym cmentarzu, gdzie pod strażą nocną marmurowych

pomników ranni przez sen wołają „siostrzyczko!”, ale „Nieżyczliwy zwierzchnik”, „Dyżur od 8 ej do 12 w nocy”, i „z tamtej strony mętnej szyby kwadratowej sęki u drzew w podwórzu oczy mają jak sowy” i jedno, jedyne pragnienie mieć pokój osobny: „przez liść... dajcie mi miejsce osobne u źródła”.

Powiedział ktoś kiedyś, że cały liryzm osłabisty to literatura pensjonarska. W takim razie należałoby czerwonym ołówkiem doktrynistą przekreślić „Wertera”, „Dziadów” część IV; „W Szwajcarii”. Inna rzecz, że głębie przeżyć indywidualnych mierzy się instyktownie skalą uniwersalizmu: im rozpięcie łuku uczuć osobistych jest większe, tem szerszy nurt pod swe skrzydła zagarnia.

W lirykach Iłakowiczówny napięcie emocjonalne było duże, szczerść niewątpliwa, wysiłek artystyczny wysokiej próby, ciąg skrzydeł niedaleki. Były to ciągle niestety, tylko lkarowe wloty duszy, uwikłanej w matni własnego „ja”. Aby się od tych kajdan uwolnić nie było innej rady, jak wyjść z siebie. Tu leżała tajemnica szerokiego odlechu.

Już w „Trzech Strunach”, w czasie największego rozłamu z otoczeniem, jedyną ucieczką było poczucie braterstwa z naturą. „Jedno małe ziarenko kłokolu jest mi bardziej bliskie, litosne od Was”.

Poetka podsłuchuje badyle, podpatruje kamienie na utozrze; „córka czarownicy” żyje w przyjaźni z leśnymi łaniami, danielami, ze skowronkiem, dzieciołem, sową, pajakiem, motylem, łatką pierzchliwą, żukiem posępnym, błękitną muchą, węzami, Gwajtosami. Nawet psy się jej nie imają, choć ludzie są wroddzy.

Życie się z naturą jest tak silne, że rodzi odruchowy antropomorfizm: „a ciemna woda w leśnem jeziorze, nie jej pocieszyć nie może”.

To instyktowne tulenie się istoty słabej do zwierząt, roślin i rzeczy,

liryzm fauny, flory i t. zw. „martwej natury” będzie miał dwie konsekwencje epickie: świadome współżycie z przedmiotami w „Rymach Dziecięcych” i świadomy assyzjanizm w „Legendach”.

Burek Jadwisi, pies św. Rocha, lew św. Hieronima, „przywiązany do topoli” w legendzie „O dzwoniącym kościele”, myszy św. Barbary, krowy św. Priora, przepiórka, skowronek, ptak św. Krystyny, róże św. Jana Nepomucena, — oto orszak cudowny, niewinny, prawdziwie uduchowiony, na równi z aniołami towarzyszący Świętemu Pańskiemu w ich ziemskiej wędrówce.

Kwiaty stają się powiernikami życzeń umierającego i wiernie spełniają jego wolę. „Gdy umierała matka” św. Jana Nepomucena „sama jedna i cichutka”, błogosławieństwo swe ostatnie przekazuje synowi za pośrednictwem pięciu białych róż.

„I gdy Jan Nepomucen dotknął tonący dna... Pięć białych róż dokoła niego... ta jedna na czole jego, ta druga na ustach jego, ta trzecia na sercu jego, a dwie ostatnie na oczach zamkniętych”.

Natura, nie Bóg, lub jego kapłani wymierza karę za zaborstwo niewinłatek, za grzech przeciw naturze. Nie mściwy archanioł, ale wiatr i morze, zatapiają łódź rybaka — mordercy. Święci Pańscy już nie pętniają czoła wyklętych, ale kładą na nich niebiański stygmat przebaczenia.

„...i błogosławił i przebaczał na brzegu ludowi, co przybieżał i potężnemu przypływowi, który o pasek uderzał i zimnemu miedzianowłosemu trupowi rybaka, który na skałach leżał”. („O Biskupie Wolframie i o miedzianowłosym rybaku”).

Od mściwego bóstwa, które śmiało się z ludzkich buntów i tęsknot, zazdrośnie ukrywając najwyższe szczyty za chmurą — przez białą Charitas, ochraniającą na pobożowsku życia wątki płomyk nadziei w sercu siostry miłosierdzia — przez wieczną, dziecięcą ufność do Tej „co jest bez zmały i skazy”, ciernista droga doprowadziła do niezłomnej wiary w nieskończoność miłosierdzia Boga.

Balsam dogmatu uleczył wszystkie rany. Oprócz jednej. A tą był ból istnienia.

„Od niewolnika [słyszał, gdy chorzy byli, powieści o szczęściu wiekuistym, co się w muszli mieści i kształty ma perły, a różaność twarzy, i gdy się perłę wyjmie, długo potem o niej muszla marzy, „Jam taka pusta muszla”. („Tęsknota św. Sawinjusza”).

Więc zawsze osamotnienie duchowe? Tak, ale jakież inne od tego, co gorzkim jadem zatruwało serce korsarza. To już nie poczucie krzywdy, to głód prawdziwej miłości, „i perfetto amore”.

„I za nas niechaj światła się zapalą, za nas, cośmy nie kochały nikogo... A miłość pamięci, a pamięć miłości nas nuży i płomień ręki kochającej nas parzy. Nam trzeba świętej, bezcielesnej troski, modlitwy ust beznamienitych nami, myśmy zmęczeniu podróży miłością żywych za życia szczuci i ścigani, nie chcemy jej pamiętać, radziśmy być trupem dla niej...

Ale jesteśmy sami. Sami jesteśmy, jak ślepa i bezcielesna muzyka”. (Modlitwa do św. Odyleny).

Gdzież jest wyjście z tej otchłani osamotnienia? W dogmacie o „świętych obcowaniu”. „Z płomienia modlitw czystych daj dostąpić mostu z ognia, daj dla nas płomień”. Po tej drodze „wejść nam prosto w serce Boga”.

Tęsknota może być „kamieniem ludzi topiących się i skrzydłem ludzi wysokich”. Lot jej najwyższy: połączenie się z Bóstwem.

„Jam Twój i nic się już nie zmieni. Tobą myślę, Two oko mną spoziera, ręka Twoja serce trzyma. Zwyciężyliśmy—Ty duszy niekształt, ja ciała zaporę. Teraz lećmy”.

A zatem zamknięcie? Nie, to raczej otwarcie nowych wrót. Wyzwolona z pęt egotyzmu wyobraźnia nie może obracać się w sferach czystego abstraktu.

Wybitne skłonności mistyczne nie dają jej też zejść na twardy grunt konkretny. Wśród tych dwóch światów, z których jeden jest jakby światem ciał lotnych, drugi stałych, pozostaje do opanowania żywioł trzeci, płynny świat bajki i legendy.

Już w najwcześniejszych utworach Iłakowiczówny przez fale wynurzeń osobistych przebiega zmienne, płowe, mieniające się wszystkimi barwami tęczy dno: fantazja ludowa o charakterze wybitnie kre-

sowym północno-wschodnim. „Chodzi, chodzi baj po ścianie, chodzi po suficie”. Teraz to dno urasta w nieprzebrane skarby legendy chrześcijańskiej i nakształt ławicy koralowej wynurza się z odmętu.

Trzeba, ażeby o tę wyspę samotną uderzył potężny wichur: rzeczywistości, burza polskiego nie- szczęścia, płomień krzywdy, która dusze zapala na stosie ofiarniczym, nie w imię zemsty, ale w imię miłości. „Módlcie się za nieprzyjacioły wasze”.

Tym piorunem, który szorstkie zlepienie przetopił na czysty kryształ natchnienia, stało się męczeństwo księdza Budkiewicza i jego towarzyszy, okrutnie zamordowanych przez rząd sowieński.

Ta błyskawica rozjaśniła przed poetką świat innych możliwości, w jej świetle pewnym krokiem zeszła na teren wypowiedzenia się epickiego: fakt historyczny dźwignęła na wyżyny legendy.

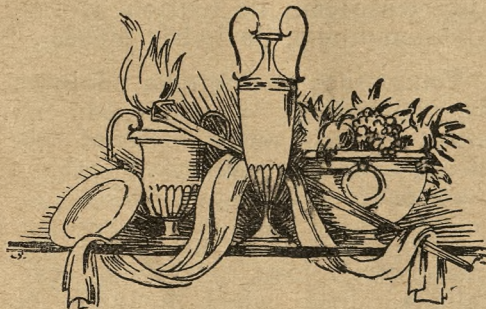
Stało się to na kartach „Opowieści o moskiewskim męczeństwie”.

„Jedno jest tylko słowo od początku do końca świata i to jest wiecznie żywe”.

Dogmat katolicki i nawskroś polska koncepcja przykazania miłości zlały się w jedną, ideową konstrukcję.

Przez świat umarłych przerzucony został żywy most ofiary na brzeg, gdzie królują duchy ks. Piotra i Anhelliego. Tak „zakwitła we włosach anioła gałązka uspio- nego wawrzynu”.

[Stefania Podhorska-Okołów



NORWID A KOCHANOWSKI

Nadzieja dobra serca niech podpira
Zaś to, że źle dziś, ma źle być i potem?
Jedenże to Bóg, co i chmury zbiera,
I co rozświeca niebo słońcem złotem.

J. Kochanowski.

Z dnia na dzień rośnie poczytność pism Norwida. Oswajają się już czytelnicy polscy z zawilnością jego myśli i stylu. Zapomniany poeta przestaje być obcym między swymi. A jednak tuła się — wśród jego wielbicieli i przeciwników zarówno — mniemanie, że stoi on poza tradycją literacką, samotny, niezawisły.

Jest w tem przesada, idąca z naiwnie pojętej oryginalności. Wyśmiał ją był niegdyś Słowacki w powiedzeniu, złośliwie przypisanem Michałowi Grabowskiemu:

Oryginalny wieszcz do Tygodnika
Napisał nowy wierszyk pełny ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny,
Wiersz do niczego przedtem niepodobny.

Norwid wypracował sobie własny pogląd na świat, wyrobił własną formę, ale równocześnie lubił i umiał obcować z mistrzami dawnych wieków, jakby jeszcze żyli,

a współczesnych widział w blaskach ich pośmiertnej sławy.

Do mistrzów swych przywiązanie żywił serdeczne. Byli to jego krewni po lutni, z którymi rad przestawał, którym zawdzięczał nieraz wyzwolenie nurtujących w nim myśli i uczuć.

Na drogach swych przeżyć i doświadczeń spotykał częstokroć artystów starożytności i uczeni ich z doby Renesansu. Zbliżył się także do Kochanowskiego. Złączyła obu wspólna postawa wobec życia, i nie przypadkiem znaleźli się obaj w kręgu najgłębszych czytelników

i wielbicieli Horacego, jako poety refleksyj życiowych. Kochanowski, uznany i oceniony wysoko przez potomnych, naprawdę słaby bierze udział w życiu literackim Polski współczesnej; za Norwidem ciągle jeszcze agituja jego czciciele.

Piewca Czarnolasu, rzucony „na bakalarską ławę między dzieci” należy niewątpliwie do poetów zapomnianych.

A jednak właśnie w naszych czasach mogą się ziścić nadzieje Kochanowskiego „że przedsię za laty nie będą jego czule noce bez zapłaty” i jak również wiara Norwida, położona we waukach, którzy go wspomną i zrozumieją.

Bo w poezji lat ostatnich przebijają zwrot ku motywom i formom klasycznym lub ściśle renesansowym. Widać to ze zbioru Lechonia „Czarne i srebrne”, Zegadłowicza: „Alcestis”, z licznych przekładów poetów polsko-łacińskich Eysmonda i wielu innych.

Lata wstrząśnień wojennych i wrzenia rewolucyjnego musiały usposobić ludzi do myślenia o niestałości losu i zmusić ich do szukania wyjścia z labiryntu wypadków i zdarzeń.

Dlatego równocześnie odsłania się dzisiaj aktualność dwóch poetów tak dalekich od siebie napozór, jak Kochanowski i Norwid.

Jako piewca doli ludzkiej, nieuniknionych konieczności życia i godnej wobec nich postawy człowieka, zyskał Kochanowski wcześniej sympatię Norwida. Wyrażał ją młody autor bezpośrednio przez motto, wyjęte z pism czarnoleskiego poety, mówiące o miłosierdziu Boga nad cierpieniem ludzkim, o nieświadomości celów życia, o niepewności wszystkiego, co ziemskie. Pośrednio, w utworach swoich stwierdza również swe niezawodne pokrewieństwo z autorem „Trenów”. Któż nie zna zwrotów Kochanowskiego: „cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi”... „cnota mój kompas” i t. p. Tak samo Norwid, zwłaszcza w swych pierwszych utworach — jak niedrukowany wiersz „Burza”, „Dumanie” I i II — malując życie jako walkę z przeciwnym żywiołem, za jedyny drogowskaz poczytuje cnotę. Bohater

jego „tylko siłę cnoty, tylko czystość cnoty... Piastuje świątobliwie niby promyk złoty”. Młodzieńcowi, opierającemu się burzy, daje poeta wskazanie: „Śmiało więc zdążaj ku przeczyszczonej cnotie”. Kochanowski znajduje ukojenie w myśli, że „Siła Bóg może wywrócić w godzinie”. „A kto mu kolwiek ufa, nie zaginie” I Norwid wierzy, że ludzkie cierpienie „Boga samego wzruszy” (Dumania I) i rzuca hasło: „W Imię Boga! Bez skazy przejdźmy życie”. „Bądź Bożym człowiekiem” powie później: „Strzeż się rozpacz: ta jest nieprzytomność. Albo niepamięć o najbliższym... Bogu”. (Przyjacielowi — poecie).

Wszyscy ludzie jednakowo podlegają prawu śmierci, wszyscy narażeni są na bolesne zawody. Trzeba wśród cierpień znaleźć oparcie pewne i nie poddać się fali wypadków, nie drżeć o przyszłość. „Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba. Kiedy się człowiek troszczy więcej niżli trzeba” — mówi Kochanowski.

Norwid również szuka miary cierpień i radości, uczy opanowywać jedno i drugie, ale niedewszystko nie poddawać się zbyt wielkiemu bólowi: „być wesołym, ile ludziom wolno, I tyle smutnym, ile ludzie muszą...”

Tylko pracę wewnętrzną zdobywa się równowagę i odporność na ataki wrogich mocy. „Serca nie zlecza żadne złotogłowy”. Bogactwo i wielkość — to pozór tylko.

Z wdziękiem dworuje sobie Kochanowski z losu, ostrzegając czytelnika: „Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko. Mieć na posłednie koła pilne oko. Bo to niestała pani z przyrodzenia”. Ale częściej mówi o doli człowieka, z powagą, wskazuje na zmienne koleje życia ludzkiego, ucząc: „Ty pomnij, że twój skarb u szczęścia w mocy”.

Jakże często porusza tę kwestję Norwid, teatrem nazywając krzywy bieg zdarzeń i wypadków. Przekonany głęboko o względności zjawisk, szukając istoty rzeczy, powiada:

I oto — cieszę się — że jedną ręką
Dotknąwszy tronu,
Czułem, jak wielką trzy — korony męką
Zacnemu łonu!

Gdy drugą ręką nieraz gnany wiatrem
Łachman mię witał;
Zkąd w życiu wszystko to, co już teatrem,
Jakbym przeczytał!

Kochanowski czuł się jako poeta wyższym nad troski i zabiegi pospolitego gminu. Muzoasom oddany, do nich się zwraca z dziękczynieniem:

Wy mię z ziemie wzwodzicie, wy mię wyłącza-
[cie
Z liczby nieznaczej i nad obłoki ws-
[dzacie,
Skąd próżne troski ludzkie i niemęską
[trwogę
Skąd omylną nadzieję i błąd widzieć
[mogę.

Norwid także swą wielkość na natchnieniu buduje i w powołaniu artysty widzi potęgę. Myśląc o niem powiada: „Nad stanami jest i stanów stan”. Panowanie nad światem zdobywa się nie tylko środkami materialnymi, raczej siłą ducha. Oto jak wyjaśnia Norwid tę prawdę:

Przecież i ja, aż w nieba łonie trwam,
Gdy ono duszę mą porywa,
Jak piramidę.

Przecież i ja ziemi tyle mam,
Ile jej stopa ma pokrywa,
Dopokąd idę.

Obu poetów, mimo wszystkie różnice ich talentów, łączy niezawodne, ściśle pokrewieństwo.

Głosiciele solidarności, wiążącej wszystkich ludzi, zwolennicy skromnej postawy wobec tajemnic bytu, obaj walczyli dzielnie o niezależność duchową człowieka, podsycając w nim dumę szlachetną, ucząc wytrwania.

„Miło jest patrzeć kiedy człek w niewoli

Z powagą zapomina, że go serce boli”
stwierdza Norwid.

Tego właśnie pragnął Kochanowski, wobec faktu, „że z nas fortuna w żywe oczy szydzi, to da, to weźmie, jako się jej widzi”.

Horacjuszowska „aurea medio cdiveritas” znalazła w utworach obu poetów polskich podtrzymanie i pogłębienie. Wolno więc mniemać że renesans Norwida w naszym życiu literackim, pociągnięty za sobą renesans Kochanowskiego.

Z. Szmydtowa



Rehabilitacja pani Ewy Hańskiej-Balzacowej*)



iedne te nieboszczki, bezbronne wobec bezlitosnych paszkwiliści! Lata czekać muszą, zanim dobra jakaś ręka wyciągnie z pomroku rodzinnych archiwów

dokument, rzekomo niezbity, który udowodni, że „wcale tak źle nie było!” Czasem nawet tak chemicznie wypiorą biedną duszyczkę, że ona sama zdziwi się gdzieś w zaświatach białości swych szatek. A czasem przychodzi fala powrotna nowych zarzutów. Dyssekwencja serca, szukanie konsekwencji, tam gdzie jej wcale nie było i znów wyrok oparty na fantazyjnych po części premisach, gdy „dokument”, lukę pozostawia!

Oto los pośmiertnych dziejów wielu kobiet, słynnych ze swych romansowych przeżyć, od Lukrecji Borgji poczynawszy.

Pani Hańska: Mało kto pamięta, że była z domu Rzewuska. Znowu krzywdą kobiecą! Nazwisko męża, narzuconego nieraz intruza, w życiu kobiety, przesłania jej nazwisko rodzinne, zawierające w sobie wiele czynników, mogących wytłumaczyć jej psychę. Rzewuska, siostra hr. Henryka Rzewuskiego! Jakże łatwiej pojąć i uzmysłowić sobie pańską, bujną, fantastyczną, upartą i zmysłową naturę kobiety, pochodzącej z tego magnackiego, odwieczną kulturą prześiąkniętego, choć zbytnią etyką nie grzeszącego rodu. A co mówi nam nazwisko pana Hańskiego, poślubionego z racji bogactwa swego jedynie, starego męża, obok którego przeżywała młode swoje lata, buntując się w duszy i daleko odbiegając myślą, pani Ewa?!

Ewa z hr. Rzewuskich Balzacowa. W tem zestawieniu łatwiej również zrozumieć polskiemu czytelnikowi trudności, z jakimi musiała walczyć kobieta, przewyżająca ze wspaiałym rozmachem przesady swej kasty.

Cudzoziemcy, to jest rodacy jej słynnego małżonka, nie byli wyrozumiali. Dla nich była ona przede wszystkim „Cudzoziemką”. „Etrangère” bywa zawsze surowo sądzona, (i u nas tak bywało exemplum. Królowa Rona i Marysieńka) feruje się wysoki nieodwołalny zapominając o zacnej maksymie, którą przypominał Korzon: „W razie wątpliwości w sprawach tyczących się cnoty niewieściej, przyjąć zawsze lepsze niż gorsze.”

Ewie Hańskiej zarzucono wszystko najgorsze. Zrobiono z niej złego ducha. Balzaca, oskarżono, że popsuła mu życie, dręczyła serce, była przeszkodą w pracy, zatruliła ostatnie dni życia, podano w wątpliwość nawet jej miłość.

Francuski autor, słynny „balzakista” badając dziś podług źródeł najpewniejszych cały, dziwny romans polskiej damy i wielkiego pisarza, dochodzi do wniosków wręcz przeciwnych.

Opowiada on po krótko znane nam dość dobrze dzieje. Jak młoda pani, nudząc się w swej ukraińskiej samotni „pomiędzy starym mężem, a maleńką córeczką” i szukając rozrywki w lekturze, rzuciła ulubionemu autorowi bezimienny list podpisany: *Cudzoziemka, Etrangere*. Czyni to w lutym 1832 r.

W styczniu 1833 r. dopiero otrzymuje długą odpowiedź, pierwszy z tych „Listów do cudzoziemki”, które miały urosnąć w dwa wielkie tomy przez lat siedemnaście.

Siedemnaście lat trwa romans, dziwniejszy od niezliczonych romansów, wyszłych z pod pióra Balzaca. Oto jak mówi o nim sama bohaterka:

„Romans mój z panem de Balzac minął za początek ciekawość, ciekawość kobiety, która wychowana w wysokiej atmosferze intelektualnej, musiała nagle poddać się życiu, będącemu pasmem niskiej pospolitości... Korespondencja, rozpoczęta, z mojej strony przynajmniej, od żartu, później rozwinęła się i przeobraziła w jedno z najpoważniejszych uczuć i jeden z najbardziej skomplikowanych problemów.”

„Je Vous aime inconnu” — pisał Balzac. Miłość nie tylko, że wytrzymała próbę zobaczenia się naprawdę, ale wzrosła — do namiętności. Nic w tem niema dziwnego ze strony Balzaca, gdyż pani Hańska była piękna i — wielka dama, ale na dobro kobiety zapisać należy, że w grubym, jowialnym, niepowabnym fizycznie człowieku odczuła trafnie wielki umysł i wielkie serce i odważnie przeciwstawiła się małostkowym i ironicznym ostrzeżeniom rodziny.

*) *Apologie pour Madame Hańska par Marcel Bouteron Revue de deux Mondes 15 decembre 1924.*

Lettres inedites de M-me Hańska Revue Hebdomaire № 51.

„Przepowiadałeś mi — pisze do brata, hr. Adama Rzewuskiego — że będzie jadł nożem i nos ucierał w serwetę. Otóż jeżeli nie dopuścił się ostatniej zbrodni, to pewna, że stał się winnym pierwszej. Oczywiście jest to przykry widok i nieraz, kiedy widziałam, jak popępia to, co my nazywamy błędami przeciw wychowaniu, miałam pokusę upomnieć go, tak, jak upomniałam Annę (córkę) w podobnym wypadku. Ale to wszystko to jest „powierzchnia” sam człowiek ma w sobie coś, co jest o wiele więcej warte niż złe albo dobre formy, ma genjusz...”

„Kiedy o tem myślę, wszystkie względy pierzchają i roztapiają się w dumie, jaka napełnia moją miłość, mimo iż tak niegodna jego.”

Wiadomo, że pani Hańska przyrzekła kochankowi iż jeśli będzie kiedyś wolną, odda mu swą rękę. Wiadomo, że mimo śmierci pana Hańskiego, która nastąpiła w roku 1841, dziewięć lat minęło, za nim Ewa została panią Balzacową.

Dlaczego — mówią nieprzyjaciele pani Hańskiej — ta kobieta bez serca nie poślubiła zaraz swego kochanka i kazała mu się tak długo męczyć?

P. Bouteron, wielki znawca epoki, radzi im, aby przestudjowali tak jak on, cały ogrom przeszkód, jaki musiała zwyciężyć wdowa, by zlikwidować, pod rządami carskimi, olbrzymi majątek i otrzymać pozwolenie na wyjście za mąż, za cudzoziemca.

Listy jej dają poznać również, ile walk staczać musiała z rodziną, gorszącą się pobytem dość długim pisarza w Wierzbowni. Za to córka i zięć pani Ewy, młodzi Mniszchowie ubóstwiają przyszłego ojczyca. Pani Ewa oswoja to wielkie, stare dziecko „z formami i zwyczajami”, panującymi w jej świecie, co zresztą jest pracą dość beznadziejną.

Co gorzej, to, że Balzac jest już chory, zrujnowany fizycznie nadmierną pracą, zrujnowany majątkowo. Tu pani Hańska objawia przedziwną odwagę i zaparcie się siebie:

„Ileż smutku w tym naszym wspaiałym romansie! Ile zgryzozy, ile lęku, z mojej strony przynajmniej. Wiem dobrze, zanadto dobrze, że pan Balzac jest skazany i że nawet przy najlepszej opiece nie może żyć długo... wiem, że dla nas niema przyszłości. Jednakże myśl, że mogę być pożyteczna te-

mu wielkiemu umysłowi i temu szlachetnemu sercu, jest mi na groda...

„Jeżeli ma umrzeć niech umrze bodaj z dłonią w mojej dłoni i z moim obrazem w sercu...”

Smutne przeczucie sprawdziło się. Ślub odbył się 14 marca, 1850 r. w Berdyczowie, w maju państwo młodzi wyjechali do Paryża, a już 30-tego miesiąca Balzac leżał prawie konający i lekarze zaledwie go ocalili puszczeniem krwi. Od tej chwili aż do 18-ego sierpnia dnia skonu wielkiego pisarza pani Hańska jest infirmierką. Walczy z chorobą po bohatersku, gdy katastrofa nadeszła jej „serce jest jedną raną żywą i krwawiącą.”

Balzac zrobił ją swą spadkobierczynią. Otóż ten spadek był to ogromnie ciężki deficyt. Wielki pisarz zostawił kilkaset tysięcy franków długów.

„Jedyna rzecz, jaka mi została teraz—pisze wdowa do brata—to oczywiście jego pamięć, spłacić długi, które nad nim wisiały i dbać o jego matkę, jak o własną. Serce moje jest złamane, ale nie żałuję niczego...”

„Jak on mnie kochał! Boże mój, jak on mnie kochał, jak on mi ufał, jak wierzył we mnie, bardziej może niż ja w niego, bo ja miewałam chwile okrutnej zazdrości...”

„Nic, doprawdy, niczego nie żałuję i niczego sobie nie wyrzucam. Mało kobiet miało to szczęście, jakie ja miałam, być przyjaciółką, doradczynią, jedyną miłością człowieka, który zawsze będzie uważany za jednego z największych pisarzy swego czasu...”

„...I mogę być dumna ze światomości, że dzięki mnie, jego ostatnie dni na ziemi były szczęśliwe.”

Czyni pani Ewy były zgodne z jej słowami. Popłaciła długi męża, matką jego zajęła się troskliwie i zapewniła jej utrzymanie, poświęciła całą swą energię na wydanie pośmiertne jdgó dzieł.

„Czemuż nie mogę skończyć na tem? — mówi z żalem francuski krytyk, podnosząc w dodatku subtelne zrozumienie i wpływ dodatni tej kobiety, „mistycznej i zmysłowej” na twórczość Balzaca.

Sprawiedliwość każe dopowiedzieć, że bujny temperament nie dał starzejącej się już pani żyć wspomnieniami.

Balzac miał następców. Pierwszym był Champfleury, młody literat, admirał namiętny zgasłego pisarza, którego ów kult właśnie zbliżył zrazu z wdową.

Drugi to malarz Gigoux znany w świecie arystokratycznej polonji

portrecista „Liaison” pani Ewy z tymże trwała lat trzydzieści, mówiono, że po cichu pobrali się

„Nie usprawiedliwiam wdowy po wielkim romansopisarzu — konkluduje p. Bouteron, ale, ostatecznie nie widzę w tem zbrodni...”

Na tle tem jednak powstała legenda, „okropna i bezsensowna”, która rzuciła cień głęboki na imię „Cudzoziemki.”

Legenda ta, powtarzana i przez naszych pisarzy, zaczęła się może od lapidarnych słów Wiktora Hugo, który przyszedłszy odwiedzić umierającego, nie zastał przy jego łóżku żony i zanotował to w swoich „Choses vues.”

Dokumenty udawadniają teraz, że biedna pani Ewa była tak śmiertelnie wyczerpana długiem czuwaniem i trudami, że mogła w tej właśnie chwili — na nieszczęście swej reputacji — pójść się zdrzemnąć może.

Ale to fraszka jeszcze wobec opowiadania Oktawjusza Mirbeau, ogłoszonego drukiem w r. 1907, które pokazywało panią Ewę w objęciach amanta, owego malarza Gigoux, w chwili, gdy mąż konał.

Mirbeau powtarzał rzekomo słowa samego Jana Gigoux... o owej strasznej nocy 18 sierpnia 1850 r.

P. Bouteron dowodzi, opierając się, na źródłach najpewniejszych, że legendę tę Mirbeau jak mówią, „wyssał sobie z palca!” dopiero po śmierci Balzaca poznał panią Ewę, a stosunek z nią nawiązał w roku 1852.

Na protest hr. Anny Mniszchowej, Mirbeau wstrzymał sprzedaż książki i wyrwał z niej karty, zawierające obelżywą opowieść, ale prasa chowa sensację, już ją rozpowszechniła szeroko.

Biedne, bezbronne te nieboszczki!..

„Można nie lubić pani Hańskiej—kończy pisarz francuski — można ubolewać, że dała za następców sławnemu człowiekowi, którego nosiła imię, takiego Champfleury i Gigoux, ale nie wolno zapoznawać wielkości jej uczucia dla Balzaca Eva! Ave!”

Pro honore imienia kobiety polskiej, rehabilitacja ta, przyjemna tylko nam być może i miło jest zawsze, gdy z pośród starych papierów błysnie „twarz człowieka”, jak to pięknie zauważył Boy, pisząc o dobrych i szczerych listach Ewy Hańskiej, szkoda, że w urywkach tylko wydanych.

K. Bielańska

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



DZIELNA AMERYKANKA

W związku z niedawną nominacją pani Mabel Walker Willebrandt na stanowisko pomocnika prokuratora generalnego przy Sądzie Najwyższym w Waszyngtonie, pisma amerykańskie podają interesujące szczegóły z życia tej niezwykłej kobiety.

Dzieciństwo swe spędziła ona wśród odludnych, dzikich lasów w stanie Kansas, gdzie zamieszkali jej rodzice. Drewniany, skromny domek, w którym przysłała na świat małą Mabel, skupiał w sobie całe życie umysłowe kolonji osadników, przybyłych tu do karczowania nieprzebranych puszczy Nowego Świata: ojciec bowiem Mabel był redaktorem, jedynym współpracownikiem i wydawcą pisemka, mającego za zadanie przynosić kolonji osadniczej wieści ze świata—matka zaś uczyła dzieci kolonistów jako nauczycielka.

Do 13 roku życia miała Mabel rosła wśród tego otoczenia, od dziecka wdrażana do pracy, nie znając innych rozrywek prócz czytania Biblii i książek z biblioteki rodziców, oraz zabaw z rówieśnikami na leśnych polanach wśród olbrzymich pni, powalonych ręką cierpliwych i wytrwałych osadników. Naukę pobierała w szkółce, pod kierunkiem swej matki, a o „szerokim świecie” wiedziała tylko z opowiadań ojca i była szalenie ciekawa, jak też on może wyglądać?

Ukończywszy lat czternaście, Mabel została wysłaną przez rodziców do Kansas-City, gdzie w przeciągu lat trzech ukończyła seminarjum nauczycielskie, jako jedna z najzdolniejszych jego uczennic. Przed młodą nauczycielką świat stanął teraz otworem—a jednak... wraca ona do swej rodzinnej osady i tam obejmuje, wspólnie ze swymi rodzicami, pracę nad dalszym szerzeniem światła wśród leśnych osadników.

Tam też w tej wiosce, wśród lasów, poznała p. Mabel swego przyszłego męża. Po ślubie przenieśli się niebawem, ze względu na jego chorobę, do stanu Arizona. Młoda kobieta, pielęgnując chorego męża, znajduje jeszcze dość sił i czasu, aby się poświęcić zewodowi nauczycielskiemu. Uczy



znowu dzieci kolonistów arizoańskich, nie zaniedbując przytem sama dalszego kształcenia się i rozwoju umysłowego.

Straciwszy męża, przenosi się pani Willebrandt do Kalifornji i tam prowadzi wykłady w szkole, uczęszczając jednocześnie na uniwersytet. Po kilku latach studiów prywatnych zdaje egzamin doktorski i uzyskuje prawo praktyki. Założywszy biuro porad prawnych, musi jednak jeszcze przez czas dłuższy poświęcać parę godzin dziennie pracy nauczycielskiej, aby zdobyć środki utrzymania, zawód bowiem prawniczy nie przynosi jej narazie dostatecznych zarobków.

Po pięciu latach wyteżonej pracy, pani Willebrandt zyskuje sobie opinię jednej z najzdolniejszych adwokatów amerykańskich. Nie potrzebuje już wykładać w szkołach — praktyki ma dosyć, a nawet jej współzawodnicy przyznają jednogłośnie, że jest ona pierwszorzędną siłą prawniczą. Zajmuje też niebawem wybitne stanowisko w stowarzyszeniach prawniczych i społecznych, aż wreszcie powołaną zostaje na urząd zastępcy prokuratora Sądu Najwyższego.

Kobiety amerykańskie mogą być dumne z tego rodzaju przedstawicieli, łączących w sobie wszystkie cnoty niewieście z niezmordowaną energją, wytrwałością i siłą woli

Z B.

W Y C H O W A N I E FIZYCZNE I SPORT

SYSTEM ODZNAK SPORTOWYCH.

(Ciąg dalszy).

Ażeby zdać sobie sprawę z dużego usprawnienia kobiet finlandzkiej i tego, jak daleko zaprowadził ten racjonalny sposób propagowania sportu i kierowanie jego przejawami, trzeba bardziej szczegółowo zapoznać się z programem ćwiczeń, wymaganych od kobiet w różnych okresach wieku.

Bardzo byłoby pożądaną, gdyby każda z naszych Czytelniczek zechciała dla lepszego uzmysłowienia sobie tych rzeczy nie poprzestać na przejrzaniu danych, które przedstawiam, siedząc wygodnie z „Bluszczem” w ręku, ale zechciała sprawdzić czy to na sobie, czy na dziewczynkach, lub innych paniach ze swego otoczenia, czy i o ile mogłyby one wykonać te przepisane próby. Ze próby te w naszych warunkach musiałyby być dużo łatwiejsze, że większość z nas jest bardzo daleko od możliwości zdobycia choćby brązowej

odznaki fińskiej, to nie ulega dla mnie wątpliwości; mówię naturalnie o ogóle kobiet i dziewczynek, nie zaś o specjalnie wyćwiczonych sportsmenkach. Próby te należałoby przeprowadzić wśród kobiet najrozmaitszych sfer i zawodów, wśród dziewczynek w wieku szkolnym we wszelkich szkołach. Może taki solidny obraz naszej niższości w tym kierunku potrafiłby wyrwać nas z apatii, powiedzmy szczerze lenistwa, które robi, że jesteśmy tak bardzo obojętne na sprawy wychowania fizycznego, że uznając jego doniosłość w teorii, w praktyce nie poświęcamy mu ani chwili.

Dla dziewczynek od lat 11-tu do 16 są przy egzaminie przepisane te same prawie ćwiczenia co dla dzieci młodszych, tylko w trudniejszej formie.

A więc szereg ćwiczeń gimnastycznych: wykroki, wznoszenia i rzuty rąk, skłony tułowia, przysiady, uniki, marsze, inne ruchy bardziej złożone. Wszystko to nietrudne ćwiczenia, chodzi tu bardziej o wykazanie znajomości rozróżniania rozmaitych ruchów, o dokładne opanowanie ich i wykonanie.

Trudniejszym ćwiczeniem, bo wymagającym dość znacznej siły rąk jest wymagane wspinanie się po linie lub skurcz rąk, czyli podciągnięcie się na rękach ze zwisu na bomie (belce) albo drabinie powietrznej.

Skoki. Aby zdobyć odznakę brązową trzeba przeskoczyć minimum 70 cm. wzwyż i to przy odbiciu jedną i drugą nogą. W lekkiej atletyce, a często i przy gimnastyce nie zwraca się u nas uwagi na wykonanie ćwiczącego. Jasne jest jednak, że dla prawidłowego rozwoju ciała niezbędne jest symetryczne wykonywanie wszelkich ćwiczeń.

Ma to też duże znaczenie dla opanowania nerwowego.

Często komuś „zdaje się” tylko, że nie potrafi skoczyć, odbijając się inną nogą. Prostu jest to przyzwyczajenie systemu nerwowego do wysyłania nakazów w jednym kierunku.

Do zdobycia odznaki srebrnej trzeba skoczyć już 80 cm.

Skok w dal z rozpędem w sumie obu nogami ma wynieść 4 m. a więc np. 2,25 m. jedną nogą,

1,75 m. drugą, zamiast tego skoku może być również skok z miejsca nie mniej niż 140 cm.

Rzuty. Przepisany rzut wykonuje się piłką uszatą lub woreczkiem z piaskiem, ważącym 1½ kg. Ręką, którą się lepiej rzuca rzucić należy 10 m. słabszą 5 m.

Drugi rzut robi się dużą piłką, prócz tego rzut do celu małą piłką z odległości 5 m.

Na dziesięć rzutów trafić należy minimalnie 3 razy lepszą ręką, gorszą 2 razy.

Prócz zwykłych rzutów obowiązują jeszcze podbijanie piłki palantem, do czego niezbędne jest częste wprawianie się i czego u nas prawie się nie praktykuje.

Wogóle na rzuty zwraca się u nas bardzo małą uwagę. W salach gimnastycznych nie można ze względu na ograniczoną przestrzeń, okna i t. p. uwzględniać rzutów dalszych, na otwartym boisku rzadko dziewczęta ćwiczą, stąd niesłychana wprost niezdarność, niezaradność, jakby obawa jakaś przed silnym zamachnięciem się piłką przy grach rzutowych.

Bieg. Niewiele jest dziewczynek w Polsce, prócz może jakichś wiejskich, żyjących na zupełnej swobodzie dzieci, które są na tyle wytrenowane, by móc przebiec bez szkody dla zdrowia kilometr choćby w dłuższym czasie niż naznaczone w Finlandji 8 minut. Bieg szybki na krótki dystans 75 metrów, ma trwać nie więcej niż 13 sekund, chód 3 klm, maximum 30 minut.

Co do sportów to obowiązkowa jest umiejętność pływania, którego sprawdzeniem jest przepłynięcie dwukrotne odległości 50 metrów, a dla zdobycia srebrnej odznaki 75 m., jeżdżenie na nartach dwukrotnie 4 klm. prócz tego do wyboru ślizganie się na łyżwach (wprzód i w tył), wiosłowanie, lub jazda na rowerze 5 klm. w 20 minut.

Aby otrzymać brązową odznakę, wystarczy pływanie lub narciarstwo, dla zdobycia srebrnej trzeba znać oba te sporty.

Że u nas niesłychanie mały procent dziewcząt, a nawet niewielu chłopców uprawia te wszystkie sporty, choćby w ich samych początkach, choćby dla próby, to wszyscy chyba widzimy.

Do zawodów międzyszkolnych, pływackich w Warszawie, nie stanęła ani jedna dziewczynka.

Następny okres wieku to od lat 16 tu do 40-tu.

Że okres ten jest tak długi, że tych samych ćwiczeń wymagać można w Finlandji od kobiety do-



chodzącej do lat 40-tu, co od młodej dziewczyny 18-to, 20-to letniej, świadczy tytko o tem, jak długo kobiety tamtejsze zachowują siłę, zręczność, giętkość, zdrowie, wola jak długo są młode, skoro mogą rywalizować w ćwiczeniach fizycznych z dziewczętami w pełni sił i ruchliwości młodego wieku.

Ćwiczenia gimnastyczne są tu trudniejsze już, lecz nie różnią się zbyt wiele od ćwiczeń dla młodszych.

Skoki wyższe i dalsze, rzuty również. Do rzutów dołącza się jeszcze tak mało u nas rozpowszechniony rzut oszczepem.

Bieg szybki 100 m. w 17 sekund, trwały 1,500 m. w 10 minut.

U nas mało która z pań może przebiec bez zdyszania się od jednego przystanku tramwajowego do drugiego.

Wymagania w dziedzinie sportu zwiększają się również. Na nartach minimum 5 klm. w 40 minut.

Duże też utrudnienia stawia się żyzny pływaniu. Można powiedzieć, że wymagane jest praktyczne, zupełne opanowanie tego sportu takie, jakie może być potrzebne w życiu. Niema efektownych skoków lub pływania na szybkość, wymaga się natomiast przepłynięcia 100 m. w ubraniu, na plecach, nurkowanie w dal i w głąb, ratowania tonących, przeprowadzenia sztucznego oddechania i t. p.

Przy kolarstwie 10 klm. w 40 minut.

W okresie wieku po 40-tu latach wymagania próby są już naturalnie łatwiejsze, mniejsze skoki, rzuty, wolniejsze biegi. Z ćwiczeń gimnastycznych wspinanie się po linie zastępuje się wchodzeniem w zwieszeniu po drabinie pochyłej.

Tak samo mniej już wymaga się w dziedzinie sportu.

We wszystkich tych okresach prócz ćwiczeń, przy których zaznaczałam za jaki wynik dostaje się oznakę brązową, a za jaki srebrną, za te same próby dokonane jednorazowo dostaje się oznakę brązową, za powtórzenie w różnych latach 3-krotne odznakę srebrną, a złotą za 6-krotne.

Dla kobiet znacznie wyżej usprawnionych w lekkiej atletyce czy sportach są jeszcze wyższe oznaki ponad złotą. I tu jednak nie wystarcza wykazać się specjalną umiejętnością w jakimś jednym kierunku.

Prócz obranego sportu trzeba umieć wykonać jakąś praktyczną pracę.

I tak ze sportów do wyboru: wycieczka piesza na łyżwach, nartach lub łodzi 30 km., wycieczka samo-

dzielna na automobilu, rowerze, motocyklu, motorowej łodzi lub samolocie (!) — 50 klm. Ale prócz sportu własnoręczne upranie, umaglowanie i uprasowanie oznaczonej ilości bielizny, 8-mio godzinna praca w polu, lub ogrodzie, spłotowanie i porabianie $\frac{1}{4}$ sążnia drzewa. Co by na taki egzamin powiedziały nasze piękne Czytelniczki, nawet te, jeżdżące konno, grające w różne tenisy i t. p.

J. F.



Ernest Seton Thompson „Dzielny Rogacz” i inne opowiadania z życia zwierząt. Spolszczyła Marja Arct Golczewska. Wyd. Arcta, r 1924.

Książka niezwykła, miła każdemu wiekowi, niosąca pogodę i zachwyt dla wszystkiego co doskonałe pod słońcem.

Bohaterami jej są piękni, odważni i szlachetni. Nie ludzie to, lecz dzikie zwierzęta: niedźwiedź, lis i baran górski. Od młodości wyróżniają się oni z pośród rówieśników, aby w młodości zadziwiać doskonałością kształtu i przenikliwością instynktu.

Człowiek o duszy dostojnej nie zburzy ich bytu. Oto młody myśliwy patrzy na obronę stada przed wilkami. Baran górski

jako przewodnik stawia czoło przeciwnikowi. Zwycięża w nierównej walce dzięki swej odwadze i szybkości decyzji. Myśliwy stracił przez niego swe cenne psy, ale choć znalazł się na 50 m. od rogacza: „Nie pożałował on teraz życia tego bohaterskiego stworzenia, ale z błyszczącymi oczami siedział wzruszony i szeptał: waleczny bojowniku, nie pytam teraz, co zrobiłeś z moimi psami, wiem, że walczyłeś uczciwie w obronie swojej i swego stada...”

Zawział się jednak na Rogacza inny myśliwy i pokonał go podstępem. Oto jak go przedstawia autor: „Był niegdyś pewien podły człowiek, który nie mogąc się niczem odznaczyć, chciał wsławić swe imię zburzeniem najpiękniejszych budowli na ziemi.”

Każdy z bohaterów książki ma swoją odrębną postawę, swój własny tryb życia, każdy też inny ma los. Samotnik—niedźwiedź, od pierwszych dni sierota, omija szczęśliwie zasadzki ludzi, zwycięża wrogie sobie zwierzęta, a w starości, straciwszy siły, idzie ku szczelinom górskim wydzielającym gazy trujące. Szuka spoczynku, ukojenia. Pragnie umrzeć.

Książka pisana przez znawcę i miłośnika dzikiej przyrody, zajmująca, mimo braku fabuły powieściowej. Ujmuje pogodnie twarde prawa życia, budzi wzruszenia głębokie,

Z. Szmydtowa.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Wiadomości Literackie” № 14 zawierają treść następującą: wywiad z Boyem—Żeleńskim p. t. „Boy o Balzac’u w Polsce;” Antoniego Słonińskiego „Listy do Przyjaciół” (wrażenie z podróży do Brazylii); St. Czosnowskiego „Prawo autorskie na wokandzie sejmu,” wywiad ze słynnym pisarzem duńskim Sophusem Michaelisem, poezje Lechonia we francuskim przekładzie Antoniego Dygate i t. d.

Muzyka № 2 zawiera artykuły: Mateusza Glińskiego „St. Barcewicz” (z okazji 50 ciolecia działalności artystycznej), F. Szopskiego „Smutne refleksje,” St. Niczowskiego „Stanisław Moniuszko w świetle dwu ostatnich pornografii,” A. Chybińskiego „Mazurki fortepianowe K. Szymanowskiego,” Egona Wellesza „Uwagi o współczesnej twórczości muzycznej,” oraz bogaty dział sprawozdawczy. Dodatek muzyczny zawiera kompozycje fortepianowe Ludomira Różyckiego pod nazwą „Dwie minjatury”.

Od Administracji

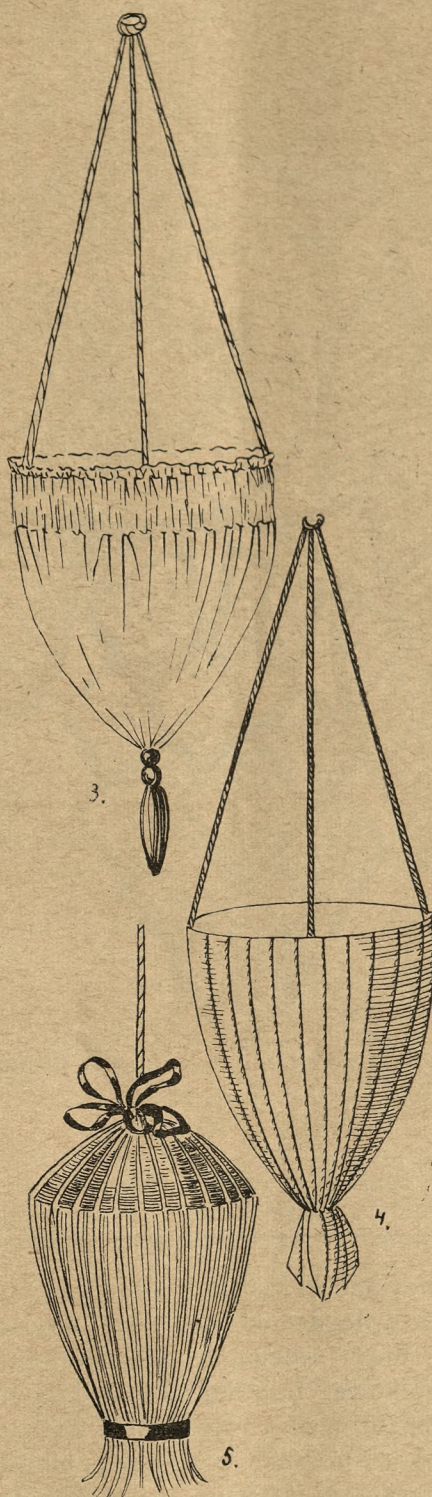
Celem uniknięcia przerwy w wysyłce pisma i kosztów połączonych z jej wznowieniem, prosimy o rychłe wpłacenie prenumeraty za maj.

Czek P. K. O. dołączamy.

ABAŻURY



1.



5.



2.

Abażur—od czasów, kiedy w pojęciach naszych kształtował się pod postacią dużego, bibułkowego liścia, służącego za tło złocistym słonecznikom lub krwistym makom, zawieszonym na zagiętym druciku nad przepaścią szkła naftowej lampy — zrobił olbrzymi skok naprzód.

Nie przeczę, że te bibułkowe anachronizmy zajmują we wspomnieniach naszych poczesne miejsce. W tułaczce wojennej i powojennej śniły się nieraz ciche jesienne i zimowe wieczory, kiedy ta, utrudzona całodziennym marszem naprzeciw cudów dziecięcego żywota, mała istotka, tuliła się w kąciку staroświeckiej, jesionowej kanapy, a kochana, troskliwa ręka takim bibułkowym brzydałem matowała zbyt silną poświatę błyskawicznego brenera, a głos, niezapomniany szeptał z cicha: „niech tam sobie podrzemie, zanim podadzą kolację.”

Dziś kiedy mi o abażurach mówić przypadło w udziale ze smutkiem skreślam z listy honorowej starego, dobrego przyjaciela i z żalem patrzę, jak prędko schodzimy w cień, my — z zeszłego stulecia. Zwycięskim marszem po zmurszałych starością kształtach w krepane bibułki strojnych, przeszły crêpe de chine'y, batikowane jedwabie, frendzle, chwasty, falbany, pa-

ciorki, witraże i cały bajkowy korowód barw i cieni.

Królują dzisiaj, wśród lamp, — smukłe, wysokie z góry dumne światło rzucające lampy, które narzuca się czworokątną jedwabną chustką batikowaną ręcznie, lub fabrycznie (rys. 1). Jeżeli taka je-

dwabna narzutka mija się z naszym budżetem, można zastąpić ją łatwo abażurem, zrobionym w sposób następujący:

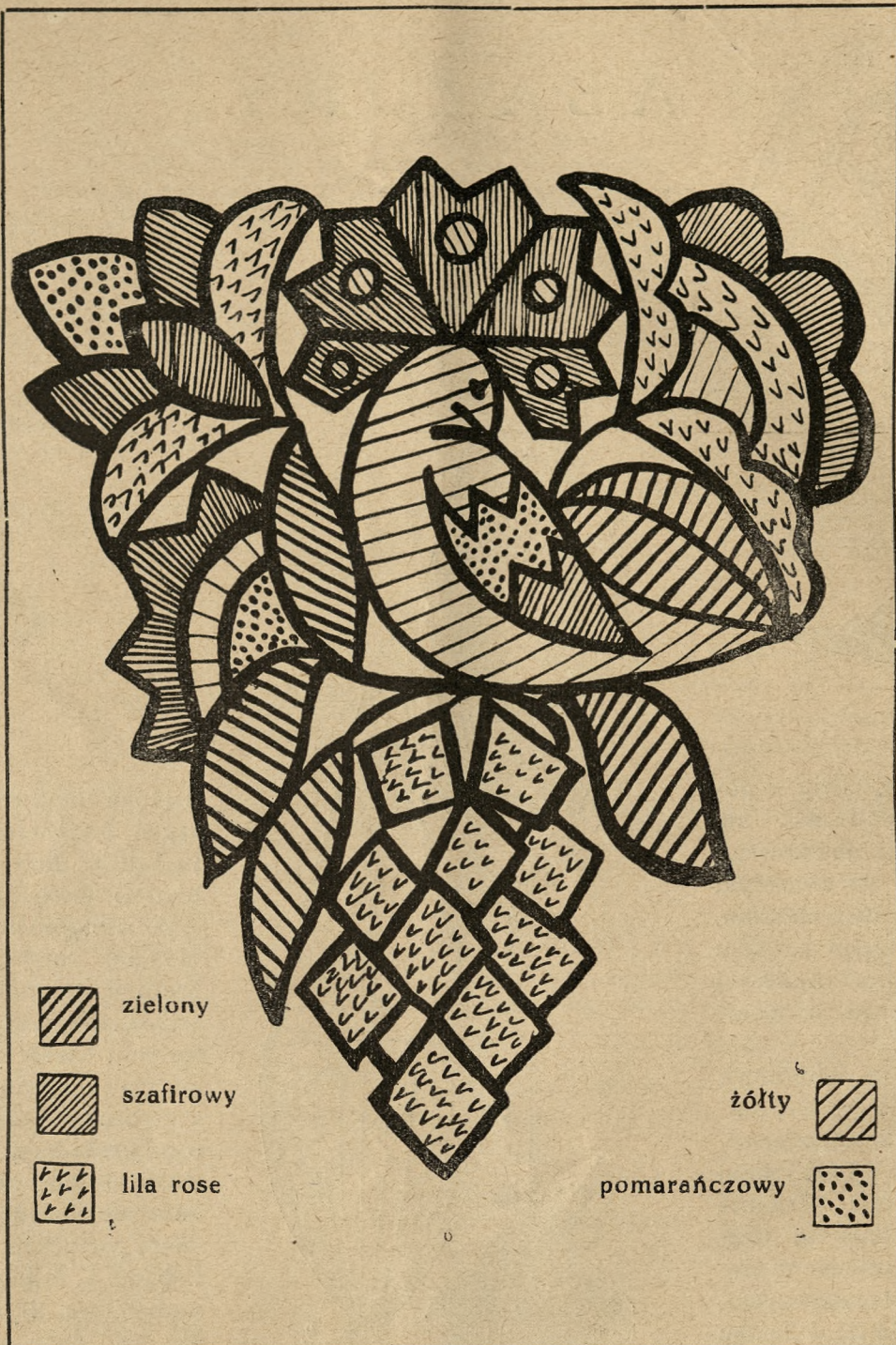
Z wielobarwnej, lub kwiecistej cienkiej satyny francuskiej, lub kretonu, wykroić kółko o średnicy, odpowiadającej krągłemu, koplastemu wierzchołkowi lampy. Kółko to obszyć falbaną, zrobioną z prostego pasa tegoż materiału o odpowiedniej szerokości, obszywając dołem, w równych parocentymetrowych odstępach kolorowymi paciorkami, które obciągają falbanę i ładny kształt abażurowi nadają (rys. 2). Paciorki mają zwykle dość duże otwory, tak że najlepiej naciągnąć na nitkę kilka dżetów barwy, zastosowanej do całości, złączyć je w maleńkie kółeczko poczem nitkę przez otwór paciorka przeciągnąć i ucześcić u brzojka falbany.

Abażur na lamkę wiszącą można łatwo i efektownie zrobić w sposób następujący: metalowy krąg, o dowolnej średnicy zawieszony na wstążkach lub łańcuszkach, obciągnąć kołem z lekkiej wzorzystej, czy gładkiej materji, lub malowanej gazy, przymarszczając górą i krojąc tak, aby materja zwisała w kształcie dowolnie długiego woreczka. Na środku koła uprzednio narysować małe kółko i ściągnąć je ściśle na nitkę wcze-

piając w sam środek bogaty chwast z „lacet”, wążutkich wstążeczek, lub drobnych lekkich paciorków (rys. 3). Metalowy krąg, na wsi można kazać zrobić kowalowi, powinien być dokoła drobniutko dziurkowany, aby ułatwić przyszywanie materiału. Ślicznie też wygląda, zrobiony w ten sposób dzwon z gazy i osnuty różnokolorowymi, o pastelowych tonach, wążuteńkami wstążeczkami przyczepianymi, w małych odstępach do górnego kręgu, a ujętymi w bogaty chwast na dole (rys. 4). Żarówkę, na jedwabnym sznurze, odpowiedniego koloru, wpuszcza się w głąb dzwonu. Można osiągnąć też bardzo ładne efekty dużo mniejszym trudem i kosztem, robiąc abażury—na zwyczajnych lampkach elektrycz-

nych, które zamiast klosza mają blaszany talerzyk, służący za reflektor.

Bibułkę cienką w dobrym gatunku, tak zwaną angielską, w dwóch barwach, np. „fraise-ecrasée” i dyskretnie zieloną pociąć w pasy szerokości mniej więcej pięćdziesięciu centymetrów. Składając pas różowy z zielonym nacinać go równomiernie w odstępach pół cent., zostawiając górą pas nieprzecięty na szerokość dwóch palców. Zebrać nieprzecięty pas, układając go, ściśle dokoła sznura, od lampy, ponad talerzykiem (kloszem) przywiązać tasiemeczką otaczając z wierzchu wstążką, uciętą z bibułki



i przypiąć takąż kokardę. Na piętnaście do dwudziestu cent od dołu, ująć zwisającą równomiernie bibułkową falbanę, składającą się z misternych, wążutkich wstążeczek, w mankiety z zielonej bibułki o średnicy sześciu a szerokości czterech do pięciu cent., zwijając zwisające poniżej ujęcia wstążeczki, na nożu w kapryśne skręty. (rys. 5).

Prowadząc w 1920 r. gospodę żołnierską, wśród prymitywnych warunków nadałyśmy jej zimnym, pustym, zaledwie bielonym ścianom, dekoracją tego rodzaju zaciszną i urok przyciągającą.

Śliczny abażurowy efekt osiąga się też nakryciem stołu w sposób następujący.

Okrągły stół jadalny, nakryty obrusem rozszitym koronkami, ozdobić wazą pełną świeżego wonnego kwiecia. Dokoła zatoczyć duże koło z misternych lichtarzyków, dźwigających na smukłych łożkach barwny kwiat jednakich abażurków. Lichtarzyk taki, wraz z wazonikiem zdobnym w świeże kwiaty, winien stać przed każdym nakryciem, obrus usiany główkami odpowiedniego kwiecia, cicha umiejętna usługa i żadnych więcej świateł prócz świec żarzących się pod jedwabiem, matującym ich jaskrawość, oto efekt śliczny, niecodzienny i dający miłe wytchnienie po przewspaniałej światłości lamp elektrycznych.

A wreszcie pomówić chcę jeszcze, o małym abażurku, który służyć może do zasłonięcia w jednym kierunku zbyt silnego światła. Wiele osób czytając, lub robiąc jakąś robotę, zasłania lampę nieraz nawet kawałkiem bibułki.

Aby to zastąpić przedmiotem ładnym i estetycznym, podajemy wzór takiego abażurka (r. 6) wyciętego z bristolu, lub kolorowej tekturki i podklejonego różnokolorową bibułką, po jej podklepieniu trzeba cały abażurek podkleić przezroczystą kalką i wyciąć ją na równi z brzegami rysunku. w.

O WSTAŻKACH I WSTAŻECZKACH

Paryż w kwietniu 1925 r.

Stanowczo pozostajemy w tym sezonie przy sukienkach wąskich u góry, i krótkich — niestety, bardzo krótkich! Jednakże suknie wieczorowe — są już znacznie dłuższe od spacerowych. I wygląda to o wiele ładniej, o wiele bardziej strojnie. Zbyt wiele już doprawdy widywaliśmy pań, których krótkie sukienki z *crêpe de chine'u*, *mousseline de soie* lub *crêpe satin* robiły raczej wrażenie tualet nocnych, niż wieczorowych. I nie można powiedzieć, aby w tego rodzaju „dezabilach” wszystkie panie wyglądały awantażownie.

Ale nie bądźmy zbyt złośliwe. Powracam do tematu, czyli do sukienki prostej, wąskiej, przynajmniej u góry, u dołu bowiem moda obecna pozwala na wszelkiego rodzaju fantazje. Są już takie suknie, których obwód — dzięki niezliczonym kłoszowym fałdom (jestto dziś fantazja dnia!) — dochodzi aż do trzech i pół metrów szerokości (r. 1). Jestto cyfra wcale pokaźna obok tego jednak istnieją wypadki, w których osóbką szczupłą i drobna może sobie zrobić skromną, prostą w linii sukienkę — z 1 m.



1.



3. 4.

30 cm. materiału metrowej szerokości! Zaręczam wam, że jest to fakt autentyczny: sama znam pewną młodą osobę, która zużywa tę właśnie ilość materiału na swe sukienki — oczywiście, robi je z krótkimi rękawami.

Zamiast ukośnych fałd, wstawionych w dół sukni, lub też kłoszowej falbany, widuje się sukienki plisowane (rys. 2).

Zasadniczo więc moda tegoroczna niewiele się różni od zeszłorocznej — różnica polega może raczej na pewnych drobnych szczegółach i różnicach.

Tak np. umieszcza się przy jednym ramieniu (jeśli stanik jest zupełnie gładki, bez ozdób) duży pęk wąskich wstażeczek lub aksamitek w kolorach żywych i urozmaiconych, spadających swobodnie wzdłuż sukni. Albo też przybiera się to ramię bukietem kwiatów sztucznych, a jeszcze lepiej — naturalnych, co oczywiście jest bardzo kosztowne, ale należy do największego szyku (rys. 3 i 4).

— A pióra strusie? — zapytacie. Otóż wszyscy nasi mistrze elegancji uważają je już dziś za przeżytek. Jednakże widziałam niedawno na eleganckim obiedzie, wydanym na cześć ministra Skrzyńskiego przez Stowarzyszenie Polsko-Francuskie, pewną panią w prześlicznej tualecie z pannie koloru *cyclamen* (najmodniejszego obecnie w Paryżu!), która miała jako jedyne przybranie na lewym ramieniu dwie wspaniałe *pleureusy* w tym samym odcieniu. Miękka matowość tych piór łączyła się precudnie z połyskiem materji i tworzyła zespół niezwykle harmonijny.

Przy tej sposobności zaznaczam,

że przybrania umieszczane na piersiach — z lewej lub prawej strony — wyszły już prawie zupełnie z mody, zanadto się już bowiem opatrzyły.

Z przodu staników nie przybieramy zupełnie. Natomiast często przybiera się je z tyłu, tysiącem *fatałaszek*, które jak wszystkie *fatałaszk*, powinny być miłutkie, ładne i kosztowne! Minjaturowe bukietki z różyczek w przeróżnych kolorach, przyszyte w rzędzie jedne nad drugimi wzdłuż jakiegoś symulowanego zapięcia, malusieńkie kokardki z wstażek o długich, wolno puszczonych końcach, małe, bardzo małe pelerynki ze starych koronek, gładkie lub marszczone, które wyglądają prześlicznie na sukni aksamitnej w kolorze rubinowym lub szmaragdowym — czy ja wiem zresztą co jeszcze?

A prawda! Jeśli robicie sobie suknię z fałdami kłoszowymi, naszyjcie je kilkoma rzędami riuszki z wstażek, czy to w dobranym kolorze, czy też dla kontrastu w innym, albo nawet w kilku kolorach. Można je także naszyć *pailletkami* lub perełkami, lub malutkimi bukietkami kwiatów, lub też — jeśli



2.

suknia wasza przybrana jest wyżej wzmiankowaną pelerynką koronkową — riuszką z tych samych koronek, co będzie wyglądało prześlicznie.

Jeśli jednak sukienka wasza jest plisowana, nie przybierajcie jej niczem. Popsułoby to tylko harmonję jej linii, polegającą na miękkim układaniu się fałd.

W przybraniu sukien mniej strojnych wstążki grać będą rolę bardzo wybitną. Ożywią je one, urozmaicą i dadzą możność wykazania swych indywidualnych pomysłów. Zapomocą tych przybrań będziemy mogły odświeżyć i zmienić do niepoznania nasze zeszłoroczne sukienki.

Weźcie np. sukienkę z granatowej wełny, które wam się już opatrzyła i przybierzcie ją w sposób następujący: naszyjcie na przodzie stanika z jednej i drugiej strony wstążkę ze słomki jedwabnej „gaufre”, w kolorze ponsowym lub zielonym, w ten sposób aby tworzyła ona rodzaj kamizelki wąskiej i długiej pośrodku umieścić kilka guzików perłowych — obszyjcie kołnierz i dół rękawów (krótkich czy długich) tą samą wstążką, zróbcie z niej jeszcze paseczek, i będziecie miały całość milutką, która będzie wyglądała zupełnie jak coś nowego.

Posiadacie może w swej garderobie suknie z materiału szkockiego, z długim i wąskim plastronem na przodzie? Jeśli chcecie jej nadać charakter bardziej indywidualny, obszyjcie plastronik wokoło wstążką czarną, błyszczącą, związaną dwa razy, u góry i u dołu — będzie to wyglądało skromnie, a zarazem bardzo ładnie.

Poszukajcie jeszcze dobrze w waszych szafach. Dziwiłoby mię, gdybyście tam nie znalazły kamizelki, długiej czy krótkiej, z ciemnej wełny. Jeśli kamizelka ta jest długa, możecie ją śmiało nosić, nawet na ulicę, przybrawszy ją tylko kołnierzem szalowym ze wstążki w kilku tonach, o dłuższych końcach, przewleczonych przez pentelkę z czarnego kordonku jedwabnego. Ta sama wstążka naszyta z boku, tworzyć będzie kieszonki. Przybranie to jest naprawdę w bardzo dobrym guście, a zobaczycie, jak wam odświeży kamizelkę, która się wam już może sprzykrzyła.

Jeśli zaś ta kamizelka jest krótka — zbyt krótka jak na obecną modę — możecie ją przydłużyć, obszywając u dołu szeroką wstążką w kratę, o barwach żywych, harmonizujących z odcieniem materiału, lub też stanowiących z nim dobrze dobrany kontrast. Obszyjcie także tą wstążką brzeg kołnierza, rękawów oraz kieszenie — i oto macie gotowe ubranie do noszenia nad morzem czy też w górach, bardzo praktyczne, a zarazem miłe i ładne.

Wstążka — ten wąski, lśniący pas jedwabiu — da nam w tym sezonie pole do tysiącznych sposobów urozmaicenia naszych toalet. Ujjymy ją też na kapeluszach, upiętą z tym artystycznym smakiem, którego wymaga sztuka modniarska, polegająca, jak wiadomo, na subtelnym doborze barw, zręcznym ułożeniu i starannem wykończeniu bardziej, niż na efektach, rzucających się w oczy... Zapewniam was, moje drogie Czytelniczki, że przybrać gustownie kapelusz wstążką — tak aby wyglądał elegancko i nie był przeładowany — jest sztuką wcale niełatwą!

A oto — na zakończenie — jeszcze jeden sposób zużytkowania tych wstążek, o których tyle już mówiłyśmy! Nosi się je mianowicie (do sukien wieczorowych, oczywiście) jako przybranie włosów, owinięte dokoła głowy, z końcem spadającym na plecy. Pamiętajcie jednak, że kolor tej wstążki musi być bardzo starannie dobrany, i to nie tylko do naszej toalety, lecz przede wszystkim do naszej cery i wieku! Trzeba więc być nielada psychologiem i znawcą własnej osoby, aby nie popełnić najdrobniejszego nawet błędu, mógłby on bowiem mieć skutki fatalne!

Najładniej wygląda taka wstążka, gdy jest przepięta strzałą brylantową — tym jednak z pań, które nie mają prawdziwych brylantów, odradzam jak najmocniej używanie imitacji — są one w bardzo złym guście.

Hrabina Annie

MODA NA SCENIE

Nie jestem pewna czy „Niewinna Grzesznica” Grubińskiego jest aż tak niewinna, jak upewnia dowcipny autor, ale sądzę, że wiele można wybaczyć grzesznicy, tak pięknie ubranej i — rozebranej, jak pani Przybyłko-Potocka. Tak jest — rozebranej. Obecny repertuar także raz po raz artystkom warszawskim ukazywać się na scenie w strojach conajmniej negliżowych. Jest to próba ogniowa pocucia miary i smaku artystki.

Tak łatwo przeholować, tak łatwo wywołać u publiczności zamiast podziwu uczucie zgorszenia i niesmaku. Pani Przybyłko-Potocka wychodzi z tej próby zwycięsko, jak z wielu innych. Jej crepe de chine'owa, haftowana kolszka nocna z pierwszego aktu

to arcydzieło elegancji i skromności, czepeczek ujęty nad czołem atłasową wstążką, związaną z tyłu w kokardę jest prześliczny, i co ważniejsze, prawdopodobny. Nie jakaś piramida riuszek i koronek, które musiałyby się zgnieść od pierwszego zetknięcia z poduszką ale ładny, praktyczny czepek do spania, obejmujący ciasno głowę i chroniący ondulację przed rozwichrzeniem. I pijama, z drugiego aktu, jest również bardzo ładna. Mało jest negliżów tak ponętnych, jak pijama, ale i równie niebezpiecznych. Uwydatnia ona z bezwzględnym okrucieństwem wszystkie usterki budowy. Osoby wysokie i szczupłe wyglądają w niej chłopcio i prześlicznie, zwłaszcza jeżeli przyjęły przemijającą modę krótkich włosów. Natomiast panie korpulentne, o zbyt krótkich nogach, powinny się stanowczo oprzeć pokusie sprawienia sobie pijamy, o ile nie chcą wyglądać śmiesznie w oczach najbliższego otoczenia.

Dopiero w trzecim akcie pozwolono pani Przybyłko-Potockiej ubrać się kompletnie. Czyni to z widoczną przyjemnością i z olśniewającym rezultatem. Luźny biały płaszcz podbity srebrnym brokatem, kapelusz z brokatu, uwieńczony olbrzymim grzebieniem z białych crossów. Przy srebrzystej klapie płaszcz pęk białych fiołków parmeńskich, przypomina o nadchodzącej wiosnie. Do tego fourreau z georgetty, zakończone w dole szeroką inkrustacją koronki na azur. Na szyi sznur pereł. Całość sprawia wrażenie wytworne, niemal dziewicze.

I jeszcze jedna refleksja — współczesna moda toleruje suknię dzienną bardziej wyciętą i ażurową niż negliż. Nie wiem zresztą, czy wszystkim byłoby w tym stroju równie pięknie jak pani Przybyłko-Potockiej.

* * *

Czy wiesz, Czytelniczko, co to jest „Szkarłatna Maski”. Jest to taki teatr, gdzie artyści teatrów warszawskich, miejskich i prywatnych po ukończeniu oficjalnego repertuaru, grają różne straszne lub wesołe jednoaktówki. Rodzaj paryskiego „Grand Guignole'u”. Ponieważ przedstawienie zaczyna się o dwunastej, więc publiczności mało, — a szkoda, bo grają świetni aktorzy i grają świetnie.

Nie do mnie należy ocena artystycznej strony widowiska, więc opowiem tylko o tuietach. Pani Milla Kamińska w roli niewiernej żony miała luźny płaszcz

czyk z czarnego jedwabiu, na bokach marszczony w sznury. Pierroci kołnierz z białego jedwabiu i biała podszewka haftowana w czarne kwiaty. Bardzo oryginalny kapelusik z białego jedwabiu, zaszyty czarnymi egretami. Denko tworzą egrety zakrzyżowane przez środek, tak, że boczne kwadraciki denka są ażurowe i pozwalają podziwiać ciemno-złote włosy artystki. Po zdjęciu płaszcza pokazuje się „dessous,” (jakżeby inaczej), combinaison z czarnego crepe de chine'u z takimiż koronkami. Pani Irena Solska, którą Warszawa niestety obecnie może podziwiać tylko w tym nocnym teatryku, ukazuje się w przepięknej sukni o barwie intensywnie koralowej, zmieszanej z szafirowym. Szkoda, że artystka po zdjęciu fartucha klinicznego, w którym gra całą scenę, zostaje w sukni tak krótką chwilę, że nie podobna jej się przyjrzeć szczegółowo.

Ładnie poubierały się panie: Gorczyńska i Bożewska, grając frywolne, paryskie mężateczki; zwłaszcza bardzo ładne jest fourreau panny Gorczyńskiej koloru vert-pomme, pokryte chiffonem tej samej barwy w srebrne desenie. Na biodrze spięcie z pereł i strassów. Kapelusik z brokatu vert-pomme i vieux-rose, przybrany pleureuzami w tych dwóch odcieniach. Podoba mi się uczesanie panny Gorczyńskiej: przedziałek po środku, włosy lekko zondulowane i gładko ułożone na skroniach, z tyłu lekko upięte w duży węzeł. Głowa pozostaje mała, zgodnie z wymaganiami modnej sylwetki, a włosy nie są obcięte. Pani Bożewska ma suknię musztardową z jedwabiu i ninon. Szal z ninon okręcony koło szyi i kapelusz z czarnych crossów.

W. L.

Zasady życia towarzyskiego

Odwiedzanie osób bliskich, serdecznych, nie ma przepisów, normuje się te wizyty według stopnia zażyłości i sympatii, jaki nas z nimi łączy. Odsuwa się wszelką etykietę i nawet porę wybiera się taką, jaka nam dogodna byle nie z rana. Takie stosunki są najmiłsze, zwykle utrzymuje się je w rodzinie, lub z paroma najserdeczniejszymi domami. Wyjeżdżając, trzeba złożyć wizyty pożegnalne w ostateczności zateletonować, lub napisać kilka słów pożegnania aby nie narażać ludzi na próżną stratę czasu i zmęczenie w odwiedzaniu nas podczas naszej nieobecności.

Powróciwszy, trzeba również, oświadczyć listownie lub telefonicznie znajomym o swoim powrocie i wznowieniu dni przyjęć. Mylnie sądzą niektórzy, że dnie przyjęć powinny mieć tylko osoby bogate, posiadające duże mieszkania. Przeciwnie, każdy z ludźmi, dla przyjemności i dla pożytku, żyć musi, a jeśli ma skromne środki i małe mieszkanie, ten bardziej powinien oznaczyć znajomym jakiś dzień i godziny, które poświęca na ich przyjęcie i nie jest wtedy narażonym na stratę drogiego czasu lub na przyjęcie gości nie w porę. Co do strony toaletowej wspomnianych wizyt, etykieta, ceremonjalne, dzienne, wymagają ubrania i kapelusza ciemnego w miarę możliwości eleganckiego. Na poobiednie wizyty, kładzie się suknie strojniesze, jasne kapelusze lżejsze i bogaciej przybrane. Tam, gdzie jest choroba lub smutek nie wypada ubierać się jaskrawo; zresztą, kwestja toalety, zależy w zupełności od dobrego smaku i możliwości danej osoby. Pani domu ubrana skromnie, ale elegancko, wita i żegna swoich gości, zapoznaje ich ze sobą, przyczem uważa, aby mówiąc nazwiska przedstawiać młodszym — starszym, mężczyznom — kobietom, niżej postawionych w hierarchji społecznej — stojącym na wyższych stanowiskach. Uprzejmość i serdeczność gospodyni — umiejętność zgrupowania ludzi, zagajenia w większym czy mniejszym środowisku interesującej rozmowy, dar rzucenia każdemu miłego słowa, lub uśmiechu, zainteresowania się jego sprawami omijania kwestji drażliwych stanowią o przyjemności bywania w jej domu. Dodam tu jeszcze kilka wskazówek ogólnych. Goście, powinni uprzejmością odpłacać za gościnność, nie okazywać trosk i złego humoru, ten należy stanowczo pozostawić w domu, lub nie mogąc zapanować nad nim, nie iść między ludzi.

Spotkawszy osobę, której nie lubimy, lub mamy do niej urazę nie okazywać jej tego, przez wzgląd na gospodarzy, a jeżeli to nad nasze siły, wyjść dyskretnie. Na zebrania, nie przyprowadzać ze sobą dzieci, nawet do domów bliskich, chyba że mają w nich towarzyszy. Z którymi wspólnie bawić się będą w dzieciennym pokoju. Nie pozwalać dzieciom, ruszać drobiazgów, oglądać kosztownych albumów i książek na których pozostawiają ślady palców, lub drażnić kartki. Bywają i dorośli, którzy mają brzydkie zwyczaj, ruszania wszystkiego, wycierania dywanu, niepokojnymi ruchami nóg, dotykaniem spocznymi nieraz rękami, kosztownych materji na oparciach mebli, jednym słowem wykonywania różnych bezmyślnych i niepotrzebnych ruc ów świadczących o ich roztargnieniu. Tego wszystkiego trzeba się wystrzegać, sprawia się bowiem gospodyni za jej gościnność, przykrość i niespokój.

Jeżeli rodzina jest liczna nie powinni wszyscy razem bywać, trzeba się podzielić na mniejsze grupy; jeżeli się przyjdzie w dużo osób, nie siedzieć zbyt długo, aby nie zabierać innym miejsca. Nie należy wprowadzać do znajomych domów swoich przyjaciół, bez uprzedniego, zezwolenia gospodarza, aby nie narażać siebie i przyjaciela na przykrość. Trzeba w tej kwestji rozmówić się z panem domu, a dopiero proponować przyjacielowi wspólną wizytę. Nie wychodzi się zaraz po wejściu innego gościa, wyglądałoby to tak, jakby się miało do niego niechęć lub poczuło nagłą antypatię. Posiedziawszy jeszcze chwileczkę pożegnać gospodarstwo, wszystkim ukłonić się uprzejmie i opuścić pokój. Jeżeli chce się zerwać z kimś stosunki, nie należy robić tego gwałtownie, bywać co raz rzadziej, a powoli rozejść się zupełnie. Jeżeli nie zastanie się osób, które chciało się odwiedzić, nie można, dowiedziawszy się do kogo poszły, iść za nimi, chyba że z tym drugim domem, łączą nas bardzo zażyłe stosunki. Pani domu, powinna przerwać wszelką robotę, przyjmując odwiedzających, aby im okazać, że podczas ich obecności, nimi jest zajęta. Nie powinna również, robić różnicy, między swoimi gośćmi, wyjątek tutaj stanowić będą osoby w poważnym wieku, bardzo wysoko postawione, lub cieszące się wyjątkowym uznaniem i szacunkiem ogółu. Skoro ktoś przyjmuje, w oznaczonym dniu i godzinach, niegrzecznie jest odwiedzić go w innej porze. Jeżeli nie ma określonych przyjęć, trzeba go zapytać przy sposobności, kiedy mu się nie robi różnicy. Nie odwiedza się nigdy nikogo w godzinach rannych, chyba że zachodzi jakaś nadzwyczajna przyczyna. Nawet między bardzo serdecznymi znajomymi, trzeba się tego wystrzegać, aby nie przeszkadzać w zajęciach domowych. Jeżeli się przypadkiem trafi u znajomych na obiad, a jest się przyjętym i wprowadzonym do jadalnego pokoju, trzeba się zachować tak, jakby się nie widziało że jedzą i co jedzą.

Odwiedzając kogoś o ile się od czuje, że się znalazło w sytuacji krępującej gospodarzy, trzeba zachować się tak, jakby się nie za-

uważyło, tego co oni woleliby, aby nie było widziane.

Nigdy nie zabierać ze sobą psów na wizyty, bo im bardziej przez nas kochane i pieszczone, tem są nieznosniejsze w obcym domu. O ile się oznacza dzień przyjęć, pod żadnym pozorem nie można nie być w domu tego dnia — nawet gdyby się nie spodziewało nikogo nie można wychodzić w oznaczonych godzinach. J. S.

PRZESADZANIE ROŚLIN POKOJOWYCH.

Ożywcze promienie słońca wiosennego budzą ze snu zimowego rośliny doniczkowe. Świadczy o tem u jednych — pojawianie się młodych listków lub pędów, u innych — jaśniejsza, żywsza barwa wierzchołków, a niekiedy wysuwanie się pąków kwiatowych.

Roślina doniczkowa jest skazana na czerpanie pokarmów z niewielkiej ilości ziemi, zawartej w naczyniu, więc gdy się zaczyna nowy okres wegetacyjny, podczas którego będą powstawały nowe liście, pędy i kwiaty, — trzeba dać roślinie zapas materiału budowlanego.

Takie zapasy zawiera świeża, żywna ziemia.

Ziemia dla roślin doniczkowych mieści skład rozmaity, dostosowany do charakteru, systemu korzeniowego i do potrzeb rośliny. Są ziemię cięższe, bardziej spoiste, są lekkie, bardziej przepuszczalne. Najlepsza jest ziemia wrzosowa.

Otrzymuje się ją, zgarniając warstwę wierzchnią w miejscach, porośniętych wrzosem, czarnemi jagodami, składa się na gromady i przerabia kilkakrotnie, dopóki nie zamieni się w jednolitą masę ziemistą. Taka ziemia szybko wysycha i jest przenikliwa dla powietrza. Gdy wyschnie nadmiernie — trudno wchłania wodę, więc doniczki z zaszuszoną ziemią wrzosową trzeba wstawiać na parę godzin do naczyń z wodą tak głęboko, żeby się cała doniczka schowała, bo dopiero wtedy bryła namięknie. Ziemia wrzosowa nadaje się dla roślin wrzosowatych, dla azalii, różaneczników, a w pomieszczeniu z liściową — dla paproci.

Ziemia liściowa — to jeden z najważniejszych typów. Powstaje z przegniłych liści, zwłaszcza klonów i lip. Liście dębów, kasztanów mniej się nadają, gdyż zawierają dużo garbnika. Ziemia staje się zdatna do użytku, gdy znikną szczątki roślinne, zresztą przeważnie bywa przed użyciem przesiewana. Stanowi podstawowy składnik mieszanin do przeważnej ilości roślin.

Ziemia darniowa jest zwieźlejsza od liściowej, a powstaje z przegniłej darni i z kretowisk, zbieranych na żyznych łąkach. Polewana gnojówką — rozkłada się dość prędko i stanowi cenny dodatek dla roślin o niezbyt delikatnym systemie korzeniowym.

Bardzo pożywna jest ziemia gnojowa; nawóz złożony na kupy, rozkłada się stopniowo, aż się przekształci w jednolitą, ziemistą masę. Do tego celu można użyć z powodzeniem nawozu przetrawionego z inspektów. Ziemia gnojowa wchłania dużo wody i trzyma ją długo; w stanie czystym prawie nigdy nie bývá stosowna, ale wchodzi w skład mieszanin dla roślin, silnie rosnących.

Ziemia torfowa, czyli przegniły miał torfowy, albo mech tworzą ziemię próchnicową, porowatą, która może być użyta, zamiast wrzosowej, gdzie o nią trudno.

Wreszcie niezbędnymi składnikami wszystkich mieszanin jest piasek gruboziarnisty i stara, przemrożona glina.

Wyliczenie powyższych typów ziem, używanych do przesadzania roślin doniczkowych, mogłoby być jedną z Czytelniczek wrawić w kłopot, a nawet zniechęcić do pielęgnowania roślin, gdyby musiała istotnie posiadać wszystkie powyższe składniki. Ale tak źle nie jest. Nie wszyscy ogrodnicy rozporządzają wszystkimi gatunkami ziemi, a jednak osiągną dobre wyniki. Nieodzownymi składnikami są: piasek, glina, ziemia liściowa, a dla niektórych gatunków wrzosowa lub torfowa. Przy umiejętnym zestawieniu można z nich wytworzyć środowisko, odpowiednie dla wszystkich roślin, nie znaczy to jednak, żeby pozostałe gatunki ziemi uważać za niepotrzebne i nie stosować ich, gdy się zdarzy sposobność ich uzyskania.

W krótkim artykule nie możemy podać przepisów, w jakim wzajemnym stosunku mieszać różne rodzaje ziemi dla poszczególnych roślin.

Takie wskazówki są podawane na urządzanych przez Koło Miłośników Ogrodnictwa corocznie w marcu kursach hodowli pokojowej roślin. Zawierają je też podręczniki^{*)}, które wyliczają wszystkie bardziej rozpowszechnione gatunki roślin doniczkowych. Ogólnie można powiedzieć, że im drobniejszy system korzeniowy, im więcej roślina posiada włókien, tem lżejszej, bardziej przepuszczalnej ziemi potrzebuje. Ale i od tego

prawdła istnieje wiele wyjątków, np. storczyki, wyposażone w grube, mięsiste korzenie, rosną we mchu a zasobny we włókienki Cyperus alternifolius, jako roślina błotna, potrzebuje ziemi ilastej.

Przedewszystkiem jednak chciałbym zwrócić uwagę na kilka zasad, bardzo ważnych, a nie zawsze należycie przestrzeganych.

Do błędów pospolitych należy stosowanie naczyń zbyt obszer-nych. Fałszywem jest mniemanie, że roślina będzie lepiej rosła, gdy jej damy więcej ziemi.

Korzenie wsysają pewną, ograniczoną ilość wody z ziemi. Ilość ta jest zależna od gatunku, od stanu i wielkości rośliny i od pory roku. Jeśli masa ziemi, zawarta w doniczce, wchłania znacznie więcej wody, niż korzenie mogą wyczerpać w ciągu jednego lub 2 dni, to wskutek braku dostępu powietrza ziemia kwaśnieje i staje się szkodliwa dla korzeni. Objawami zewnętrznymi nadmiaru wilgoci jest porastanie ziemi mchem i pokrywanie się ścian doniczek pleśnią.

Jak bardzo korzenie potrzebują dostępu powietrza, świadczy najlepiej, że oplatają one bryłę ziemi na jej obwodzie zewnętrznym i cisną się do ścian doniczki. Stąd prosty wniosek, że ścianki te powinny być porowate, przenikliwe dla powietrza, więc zrobione z gliny niezbyt silnie wypalanej. Wszelkie naczynia emaljowane, blaszane, porcelanowe i t. p. są nieodpowiednie i utrudniają zabiegi hodowcy, zdążające do utrzymania rośliny w dobrym stanie.

Jeżeli doniczka jest zbyt obszerna, to korzenie nie mogą szybko przerosnąć całej bryły ziemi, dosięgnąć ścianek naczynia i korzystać ze wzmożonego tą drogą dopływu powietrza. Gdy zaś do tego dodamy kwaśnienie ziemi — to jasno wystąpi szkodliwość stosowania za wielkich doniczek.

Z tych samych względów najlepsze są doniczki nowe, stare zaś przed przesadzaniem muszą być starannie wyszorowane wewnątrz i zewnątrz szczotką i sodą, a następnie dobrze wysuszone.

Zatem rośliny zdrowe należy przesadzić wiosną do doniczek o jeden numer większych, t. j. do takich, w których dotychczasowa doniczka mieści się, szczelnie nową wypełniając.

Rośliny chore, po usunięciu korzeni zgniłych, wyschniętych lub uszkodzonych i zmniejszeniu w ten sposób bryły korzeniowej, przesadzamy do doniczek, w których ta bryłka wygodnie się mieści i obok niej można przesunąć palec. Naturalnie dla roślin chorych trzeba

^{*)} Np. Bettina — Hodowla kwiatów pokojowych — M. Arct — Warszawa.

przygotować ziemię znacznie lżejszą, bardziej przepuszczalną niż dla zdrowych, zatem z obfitszym dodatkiem piasku.

Każde naczynie, w które przesadzamy roślinkę, musi posiadać w dnie otwór, jeden lub kilka, jeśli to są obszerniejsze skrzyneczki. Przez te otwory ma odciekać nadmiar wody, użytej do polewania. Żeby jednak i ziemia się nie wysypywała tamtędy i woda zbyt szybko nie uchodziła, otworki przykrywamy płaską skorupką. Na nią możemy położyć jeszcze kilka skorupki, zwłaszcza dla roślin bardzo wrażliwych na nadmiar wilgoci, a następnie sypiemy warstwę ziarnistego piasku: Podkład taki jest drenem, odsączającym ziemię i odprowadzającym wodę. Brak warstwy odsączającej może łatwo wywołać gnienie korzeni.

Bryłę korzeniową wyjmujemy ze starej doniczki, uderzając kantem odwróconego dnem do góry wazonu o brzeg stołu. Zaostrzonym patykiem zgarniamy ziemię luźną z powierzchni bryły, a z pomiędzy korzeni przeważnie ziemi nie wyrzysamy, tylko lekko spulchniamy cały obwód, żeby nastroszone w ten sposób wierzchołki korzonków łatwiej przeniknęły do warstwy świeżej ziemi.

Bez takiego poruszenia zakończonych korzonków, bez zniszczenia spotykanego u roślin silnie zakorzenionych zwartego spłotu korzeni, otaczających niby filcem całą bryłę — korzenie niektórych roślin nie okazałyby wcale zamiaru skorzystania ze świeżej ziemi, dostarczonej im przy sadzeniu. Do takich należą np. paprocie. Równocześnie jednak są one, obok palm, kamelji i innych, bardzo wrażliwe na uszkodzenia samej bryły korzeniowej, więc naruszenia jej trzeba unikać.

Przygotowaną już do przesadzenia roślinę wstawiamy do doniczki odpowiedniego rozmiaru, zaopatrzonej w drenaż, na który sypiemy cienką warstewkę ziemi. Roślinę ustawiamy w środku doniczki (nie przy jednym z boków) prosto i obsypujemy świeżą ziemią. Następnie płaskim patykiem lekko upychamy ziemię wokoło bryły, żeby nie pozostawić próżnych miejsc między bryłą a ściankami doniczki. W tym celu trzeba ruchem falistym patyk przesuwając, nie wyciągając go z doniczki. Jest to raczej przegarnianie, a nie ubijanie ziemi, która nie powinna być twardo utłuczona, lecz zawsze pulchna.

Stopniowo dosypujemy ziemi coraz więcej, dopóki nie wypełni ona doniczki. Wtedy należy stuk-

nąć lekko dnem o stół, żeby ziemia osiadła, i przesadzanie skończyć. Ugniatanie palcami powierzchni ziemi jest wręcz szkodliwe, bo powierzchnia powinna być zawsze pulchna.

Teraz wypadnie polać rośliny ostrożnie, żeby nie powypłókiwać ziemi z doniczek, ale tak obficie, żeby cała bryła namiękła, co poznamy po wyciekaniu wody przez dolny otwór doniczki. Wskutek polania ziemia lepiej osiadzie, wypełni wszystkie szczeliny i zwiąże się ze starą bryłą. Gdyby się okazało, że osiadła nadmiernie, co może się zdarzyć, gdy za lekko była ubita, albo gdy pozostały puste miejsca, to należy dosypać świeżej ziemi.

Niektóre rośliny, jak palmy, kaktusy, klawie, przesadzamy raz na parę lat. Ale co rok zaleca się zgarnąć warstwę zwierzchniej, zużytej ziemi, aż do korzeni i zastąpić ją świeżą, co bardzo wzmacnia roślinę.

Po przesadzeniu i polaniu ustawiamy doniczki na dawnych miejscach, zapuszczając jednak rolę w dnie pogodne, dopóki się rośliny nie zakorzenią. Przez pierwszych parę dni polewania należy zaniechać, albo dawać wodę tylko tym roślinom, których bryły wyraźnie przeschły, bo uszkodzone przy przesadzaniu korzenie zużywają z początku znacznie mniej wody. Za to zraszanie liści jest bardzo pożądane. *Stan. Schönfeld.*

OSZCZĘDNOŚĆ

Oszczędność — nie skąpstwo — (te dwa pojęcia są zupełnie różne i nie należy ich nigdy mieszać), — jest pierwszym obowiązkiem każdej Polki w ogólności, a każdej pani domu w szczególności.

Systematyczne i drobniagowe wprowadzenie oszczędności w gospodarstwie, nietylko nie będzie ciężarem dla domowników i rodziny, lecz przeciwnie, zwiększy ich dobrobyt i da możliwość użycia nie jednej rozrywki i przyjemności, której przy nieogłędnym wyrzucaniu pieniędzy, byliśmy pozbawieni.

Oszczędzać można, nietylko starając się zmniejszyć wydatki pieniężne — przede wszystkim należy oszczędzać to, co już mamy, nie niszcząc, starannie utrzymując, starając się, aby trwało jak najdłużej.

Futro zmoczone śniegiem lub deszczem, nie wysuszone dobrze i zamiast starannego powieszenia na wieszaku, ciśnięte gdzieś, zgniecione w kącie pokoju, lub też inne pozostawione latem w szafie, nie ochronione od kurzu i moli i w

rezultacie zjedzone przez te ostatnie, zmusza nas do kupienia nowego okrycia, nieraz znacznie brzydszego i gorszego, a pozbawia nas na miesiące całe możliwości chodzenia do teatru lub na koncerty, gdyż nieprzewidziane to kupno pochłonięło lwią część naszego zarobku. Tymczasem futro każde prawie, starannie utrzymywane, chronione od moli, co lat kilka odświeżone, przecełowane i przerobione, trwać może lat kilkanaście i więcej.

To samo da się powiedzieć i o bieliźnie, wycerowana i wyreperowana przed każdym praniem, przesuszona na słońcu wiosną czy latem, prana w domu bez używania żadnych chlorków, szczotek i t. p. trwa dwa razy dłużej, niż oddawana do pralni, lub chociaż prana w domu lecz bez dozoru samej pani.

Mody, zmieniające się co sezon nie pozwalają nam używać przez lat kilka tej samej sukni, jak to czyniły nasze babki — to też większość pań wyrzuca wyszłe z mody suknie do jakiej skrzyni lub sprzedaje je za marny grosz handlarce. Tymczasem każda suknia prawie daje się po razy kilka elegancko przerobić, jeżeli nie dla nas samych, to dla naszych dzieci, dla służby w ostatecznym razie.

Żaden kawałek, żadne resztki nie powinny się marnować aż do chwili, kiedy materiał straci moc i na nic się już użyć nie da. I tutaj nawet jeszcze można go użyć na ściereczki do kurzu, na jakieś pokrowce do tac czy półmisek platerowanych, na ochronę latem od much i kurzu żyrandoli lub obrazów.

Pod tym względem Niemki, niesympatyczne nam może, lecz niesłychanie praktyczne, mogą służyć za wzór. Ze starych pończoch potrafią zrobić swetry i reformy dla swoich dzieci, z sukienek letnich fartuchy kuchenne, z zimowych szlafroki i t. d.

Trzeba tylko dobrej woli, pomysowości i tego, czego Niemkom brak, a czego tak dużo na szczęście mają Polki — gustu.

To samo co z ubraniem, dzieje się i z meblami, złamanie każde natychmiast sklezione, naddarcie zreperowane, materiał ochroniony od wyblaknięcia nałożeniem w czas pokrowca, — i meble trwają życie całe — a jak cz. sto niestety widzimy połamane w szczątki po kilku latach użycia zaledwie. Zarzuć ją mi zaraz, że piszę o porządku, a nie o oszczędności — właśnie na utrzymywaniu wszystkiego, co mamy, w porządku zasadza się największa, najracjonalniejsza oszczędność.

Co do gospodarstwa domowego, do kuchni głównie, jedną z najważniejszych podstaw oszczędności jest zapobiegliwość. Jeżeli porobić zapasy produktów w sezonie, wtedy, kiedy są najtańsze, a często i najlepsze, robi się od razu poważną oszczędność. Każda z nas zna te grube, kartonowe prawie torby, w których sprzedają nam w sklepikach mąkę, cukier, kasze, bakalie nawet, otóż kupując małymi ilościami przepłacamy w ciągu roku nie dziesiątki lecz całe setki złotych, za te torby, bo przecież one idą wraz z produktami na wagę. A wiele tracimy, kupując węgiel i drzewo, złane deszczem lub obmarzniete śniegiem, wiele przepłacamy za mokre, oklejone ziemią kartofle i inne jarzyny, — wiele kości zamiast mięsa przynoszą nam kucharki, bo żałujemy fatygi, aby pójść i kupić je same; zamiast jednego cukierniczego ciastka możemy zrobić trzy, może mniej ładne, lecz równie smaczne, piekąc je w domu. Zarzucać mi może pedanterję i drobiazgowość, powiedzą, że kobieta nieraz zarabia sama na życie, lub ma zajęcie inne, poważniejsze, nie dające jej się zajmować takimi detalami. O tych naturalnie nie mówię. Są jednak szeregi kobiet, którym praca męża zabezpiecza byt, które oprócz gospodarstwa domowego, wychowania dzieci — no i obowiązków towarzyskich, innego zajęcia nie mają. Te przy pomysłowości i zapobiegliwości mogą do połowy niemal zmniejszyć budżet domowy, bez najmniejszego uszczerbku dla wygody rodziny, przeciwnie mogąc przygotować z tych oszczędności masę przyjemności lub niespodzianek, — lub też zebrać jakąś sumkę na czarną godzinę, na jakiś odpoczynek, na jakąś kurację. Niema drobnych, lub zbyt drobnych oszczędności, jest tylko jedna oszczędność, która stale powinna stać na straży wszystkich wydatków domowych.

Oszczędność obowiązuje szczególnie ludzi niezamożnych. Dzisiaj, po wojnie, większość niezamożnej inteligencji składa się z osób, które miały inną, lepszą przeszłość, — i mimo to, że nie pozostało cienia nadziei, że do niej wrócić będą mogły, zapomnieć o niej nie mogą, a co najsmutniejsze nie umieją, a nawet wstydzą się oszczędzać.

Otóż te biedne siostry moje w biedzie powojennej, straszniebym chciała nauczyć tej niemieckiej, pedantycznej praktyczności, zabiegliwości i oszczędności, aby w ich smutnym bytowaniu jakąś pomoc im okazać i tę wartość każdego

ich złotego powiększyć. Bo nieprawdą jest, że każdy złoty jest tyle wart, co drugi złoty. Dla biednego złoty jest wart tyle, co dla bogatego dziesięć, a nawet sto złotych. Otóż marzeniem mojem byłoby, aby każdy złoty w ręku praktycznej, oszczędnej, gospodyni zmienił się w dwa złote przynajmniej.

Pani Elżbieta

SKRÓCONY SPOSÓB PRANIA

W kosztach utrzymania skromnego domu „pranie” zajmuje dość poważne miejsce — przyczem najwyższą rubrykę stanowi wynagrodzenie i utrzymanie praczki.

Podaję tu ułatwiony sposób prania, który pozwala na zmniejszenie tego wydatku, bez uszczerbku w czystości bielizny, a jedynie przez ograniczenie pracy rąk ludzkich.

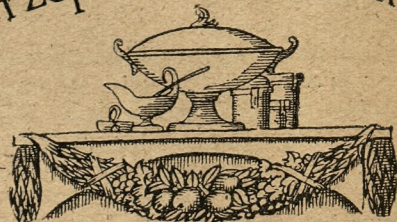
Bieliznę moczy się w zimnej wodzie przez 10 — 12 godzin, poczem wyżyma się porządnie wprost do kotła, w którym ma być gotowana. Tu zalewa się zimną mieszaniną, przyrządzoną w następujący sposób: 400 gram (1 funt) mydła rozpuszcza się i zagotowuje w wodzie wraz z 25 gramami parafiny, następnie studzi i rozprawdza zimną wodą — tę ilość mieszaniny wiaderkiem wody. Wtem gotuje się bieliznę 25 — 30 minut od chwili zagotowania, poczem wylewa się na balję i pierze (w tejże mieszaninie) gdy tylko na tyle wystygnie, że ręka wytrzyma. Po jednym przepraniu jak zwykle płucze się porządnie (najlepiej zostawić na kilka godzin w wodzie) i wreszcie wykończy zwykłym sposobem.

Praktyczna wskazówka! — Najbrudniejszą bieliznę ułożyć do moczenia na spód, aby ją gotować na ostatku, można bowiem dolać użytej przy czystszej bielinie mieszaniny do gotowania brudniejszej, oczywiście o ile nie jest zbyt już zużyta — brudna.

Przy tym sposobie prania zużywamy wprawdzie więcej mydła — (1 klg. mniej więcej na 100 sztuk bielizny) ale oszczędzamy wiele na czasie, a tem samem na pracy ludzkiej, która jest najkosztowniejszą.

A. K.

Przepisy gospodarskie



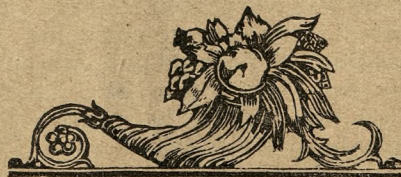
OMLET Z NERKAMI

Sześć żółtek ubić w garnku łyżką, gdy się dobrze złączą, (najwyżej po minucie ubijania) dodać szczyptę soli i sześć białek, ubitych na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie, aby piana nie opadła.

Na dużej bardzo patelni rozpuścić sporą łyżkę masła, na nie wylać niegrubą warstwę jaj, smażyć na wolnym ogniu, potrząsając patelnią, aby do dna nie przystało. Gdy się omlet ze spodu lekko zrumieni i u góry zacznie ścinać, włożyć przygotowane nerki, brzegi omletu z dwóch stron zwinąć ku środkowi i wyłożyć zręcznie na półmisek, nie psując jego kształtu. Wziąć ładną nerkę, upieczoną wraz z pieczeniem cielecą, pokrajać ją wraz z otaczającym ją tłuszczem w drobne paski, włożyć w mały rondel, w którym wprawdzie zrumieniliśmy łyżkę pokrajanej drobno cebuli w łyżce masła, rozgrzać wszystko razem, wsypać łyżeczkę maki, parę łyżek rosołu lub łyżkę nie gęstej śmietany, zagotować raz, i wsypać łyżeczkę siekanej pietruszeczki lub koperku, — To nadzie nie przygotować należy przed zaczęciem roboty przy omlecie aby omlet nie wystygł. Po włożeniu do omletu podawać; natychmiast.

JAJA „A LA TRIPPE”

Doskonałe zużycie pozostałych od Święconego jaj, na twardo. Dwie spore cebule pokrajać w cienkie plastry, zrumienić lekko w sporej łyżce dobrego masła, wsypać nie-dużą łyżkę maki, nieco pieprzu, wlać filiżankę rosołu lub kostkę „Maggi”, rozpuszczoną w filiżance wody, pogotować minut parę na wolnym ogniu, żeby sos zgęstniał. Na talerzu, posmarowanym masłem, ułożyć sześć jaj twardych, pokrajanych w talarki, zalać cebulowym sosem, gdyby był za gęsty, rozprawdzić go drugą filiżanką rosołu lub wody. Osypać po wierzchu suto jakimkolwiek ostrym serem i wstawić na kilka minut pod blachę dla zrumienienia. Można tę samą potrawę z jaj podać w inny sposób. Po zafaniu jej cebulowym sosem nie zapiekać pod blachą, lecz zagrzać tylko razem na blasze, oddzielnie usmażyć sześć grzanek z bułki, rumieniąc na ma-



śle z obu stron, temi grzankami obłożyć potrawę, posypać i grzanki i potrawę ostrym serem i natychmiast podawać.

WERMISZEL ZAPIEKANY Z MIĘSEM.

Ugotować pół kilo włoskiego, grubego, wermiszelu zwanego „spaghetti“, nie łamiąc go drobno, lecz starając się zachować możliwie długim. Wrzucać go na gotującą, dobrze osoloną wodę, w jakimś długim, płaskim naczyniu, naprzykład formie do placek lub brytwannie. Nie należy go przegotowywać, gdy nieco zmięknie, ma dosyć, odlać na sito, dać wystygnąć. Wziąć kilo pieczeni wołowej, cielęcej lub wieprzowej, albo tyleż mięsa z rosołu przepuścić przez maszynkę ze stu gramami (10 dekka) słoniny od szynki. Zesmażyć sporą cebulę, drobno pokrajaną w łyżce masła, włożyć w to mięso, zagrzzać na ogniu, wlać dobrą filiżankę rosołu, aby farsz nie był suchy, osolić do smaku, wsypać nieco pieprzu. Płaski rondel wysmarować grubo masłem, wysypać bułeczką, ułożyć w nim warstwę wermiszelu, zaczynając od środka dna i wciąż układając w koło aż się dno i boki rondla wyłożą, włożyć w środek farsz, pokryć wermiszlem, na to położyć parę kawałków masła i zapiec w dobrze gorącym piecu, aby babka się ze wszystkich stron zrumieniła. Wyrzucić na półmisek i podać z pomidorowym lub mocnym, buljonowym sosem.

KARTOFLE Z JAJAMI I CHRZANOWYM SOSEM.

Ugotować sześć jaj na twardo i sześć średnich kartofli w łupinkach. Jedne i drugie obrać i pokrajać w plasterki. Półmisek wysmarować małym i układać warstwami kartofle i jaja, kładąc pomiędzy nie małe kawałeczki masła i soląc zlekka każdą warstwę. Utrzeć spory kawałek chrzanu, osolić, posypać małą łyżeczką cukru, polać octem, dać tak postać godzin parę, aby chrzan stracił zbytęcną ostrość. Zasmażyć, nie rumieniąc, łyżkę masła z łyżką maki, rozprowadzić rosołem lub wodą tak, aby sos był zawieszisty, dodać chrzanu, pogotować parę minut razem, dodać dwie łyżki kwaśnej śmietany i małą łyżeczkę dobrego masła, sosem tym pokryć kartofle, posypać bułeczką, do której, jeśli jest, dodać garstkę ostrego sera i wstawić na kwadrans w piec do zrumienienia. Dobry sposób zużytkowania jaj, pozostałych od święconego.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Pożółkłą bieliznę najlepiej bieleć na słońcu wiosennem. Zmaczaną i nie wyjętą sztukę rozkłada się na trawie i trzyma, dopóki nie wyschnie. Czynność tę należy powtarzać, dopóki bielizna nie wybieleje.

* * *

Aby wytracić mszyce, pojawiające się na wiosnę na kwiatach doniczkowych, trzeba je skrapiać rozczyntem mydła naftowego (quassia).

Korespondencje działu praktycznego

P. M. S. w Śmiechowicach.

Trudna bardzo do usunięcia ze spiżarni plaga mrówek, da się skutecznie w sposób następujący: Szczelnie opatrzyć spiżarnię — pozalepiać kitem wszelkie szparki w podłodze i futrynach — zmieszać boraksu, z mąką grochową — mocno ocukrować i rozsypać. Oprócz tego rozłożyć gałązki świeżych o ile możliwości konopi, których zapachu nie znoszą mrówki. Dobrze jest także ususzyć i utłuc kawałek korzenia lilii białej wodnej (nimphea alba), wsypać do gorącego mleka — dobrze ocukrować i porozstawiać na płaskich spodeczkach, można też zagotować octu, zmieszać go z mlekiem i gorący rozstawić na spodkach, w spiżarni, a podłogę wzdłuż futryn obsypać popiołem drzewnym.

Nie radziłabym dolewać chlorku do prania bielizny, która żółknie najczęściej od zbytniego używania sodu do wody, lepiej dodać do płukania łyżkę terpentyny francuskiej na 40 litrów wody. Sposób prania bielizny jest dokładnie opisany w Nr. 51-52 „Bluszczu“. Zaczawszy od 15-go numeru „Bluszczu“ znajdzie Sz. Pani letnie suknie.

Pani Z. K.

Plamę z tranu czyści się benzyną, nacierając ją gałgankiem tego samego co materiał koloru, dopóki zupełnie nie zniknie. — Można także zamiast benzyny użyć spirytusu.

Pani M. K. w Zamościu.

Na plamy żółte na lustrze nie ma niestety domowych sposobów. Trzeba koniecznie lustro odesłać do fabryki, gdzie po zeszkobaniu całego podłoża — pokryją nowym chemicznym preparatem. Koszt za metr kwadratowy 30 zł.

Wzór na kapę umieścimy niedługo w „Bluszczu“.

Pani J. S. w Wieliczce.

Przepis na przechowanie futer podajemy w 15-tym numerze „Bluszczu“.

Kolor i czystość rosołu zależy: od dobrego wyszumowania przed zagotowaniem, od wolnego gotowania, od użycia odpowiedniego i świeżego mięsa i kości; naprzykład od kości rozbefowych rosół robi się biały.

Chrzan utarty natychmiast lekko posolić bardzo mialką solą — wymieszać z nią dokładnie, a nigdy nie szernieć. — Jeżeli zalewa go się octem, trzeba ocet przegotować z cukrem — zupełnie ostudzić i dopiero wlać na chrzan.

Pani F. Drechowa z Mutwicy.

Materace popruć — drelich wyprać i wymaglować — włosie wygotować — wysuszyć cienko rozpostarte na prześcieradłach na słońcu, lub na górze. Po wysuszeniu skrócić i napychać niem drelichowe poduszki — pikując co pół okcia.

Chleb pyłowy, owinięty w kawałek płótna trzymać w glinianym naczyniu, w chłodnym miejscu, często zaglądając, żeby nie spleśniał.

Abv pluskwy zupełnie wytępić, najlepiej jest zdezynfekować formaliną mieszkanie, w razie niemożności wygotować kilo tabaki w garncu wody, na litr precedzonego płynu, dodać 2 gramy soli z pastylką formalinową — zlać do butelki, a po należytem rozpuszczeniu smarować łóżka i szopy — pierwszy sposób jednak jest pewniejszy.

Jedną z ważnych przyczyn rozmnażania się pluskiew w domach drewnianych na wsi jest sposób budowania ich. — Uważać trzeba aby do obtykania desek nie używać mchu czerwonego tylko zielony — inaczej nigdy nie obroni się od pluskiew.

Pani M. K. w Wilnie.

Gotując obiady na maszynce, czyli mając jedną tylko fajerkę, musimy gdzieś przechować już ugotowane dania, aby nie wystygły. Najprostszym przyrządem jest „gniazdo papierowe“ łatwe do wykonania, którego dokładny opis był podany w „Bluszczu“ 16 Sierpnia ub. roku № 33.

Garnek zwykle używany owinać kilkanaście razy staremi gazetami, uważając, aby warstwy szczelnie przylegały jedna do drugiej i do samego garnka, obwiązać to wszystko mocno sznurkiem. Przykrycie na to, dokładnie i głęboko zachodzące, zrobić również z kilkunastu

warstw papieru gazetowego, poczem garnek się wyjmuję, gotuje lub dusi w nim jakąś potrawę, gorący garnek wstawia w przygotowane gniazdo, przykrywając naprzód własną pokrywą, potem papierową, na koniec jakim starym szalem lub obrusem, złożonym w kilkoro, — w taki sposób ciepło się przechowa od trzech do czterech godzin, a nawet nieco niedogotowana potrawa np. ryż lub kasza dojdzie zupełnie. Mając dwa takie gniazda zastosowane do większego i mniejszego rondla, możemy już przyrządzać zupełną jarzynę, które będą stały w cieple, zanim usmażymy lub udusimy mięso. Takie gniazda mogą trwać długo i łatwo dają się zastąpić nowymi.

Pani A. W. w Łodzi.

Pojęcie skromnej kolacji jest niesłychanie rozciągle, — wskazując od razu liczbę 18 osób, chce zapewne Pani otrzymać w odpowiedzi nie tylko potrawy lecz i ilości produktów podstawowych, potrzebne do ich sporządzenia. Nie mogąc dla braku miejsca, podać kilka jadłospisów, podajemy jeden tylko, dając natomiast w każdym z nich dwie potrawy współrzędne do wyboru.

Kolacja zimna: Kanapki z szynką, ze śledziem i jajkiem, z jajami i szczypiorkiem, z pasztetem, z serem szwajcarskim.

1) Sandacz w galarecie lub szczupak, faszerowany. (3 — 4 kilo ryby zależnie od apetytów gości), sos majonezowy lub chrzan z octem.

2) Pieczeń cielęca lub schab pieczony, ubrane galaretką. (4 kilo pieczeni lub 3 kilo schabu), na sałatę borówki, sałata zielona ze śmietaną lub czerwona kapusta.

3) Krem czekoladowy, lub galareta cytrynowa. Herbata. kawa czarna.

Kolacja gorąca; Kanapki jak wyżej.

1) Ozór peklowany z groszkiem zielonym i chrzanowym sosem. Dwa ozory wagi około 3 kilo).

2) Rozbeł lub polędwica, z garniturem dowolnym. (4 kg. rozbełu lub 3 kg. polędwicy).

Salata włoska z mieszanych jarzyn, lub salata zielona z oliwą.

3) Savarin z morelowym sosem lub mus cytrynowy, kawa, herbata.

O welnę do wyszywania tiulu genueskiego zechce Sz. Pani zwrócić się do firmy, St. Wegenko Warszawa, Krucza 24, powołując się na „Bluszcz” — na którego polecenie firma ta załatwia zapotrzebowania prenumeratorek.

O przechowaniu futer wyczerpujące wiadomości zamieściliśmy w Nr. 15 „Bluszczu”.

Grono prenumeratorek, które pisały do nas w sprawie starej winiety „Bluszczu” prosimy o wskazanie osoby, której moglibyśmy dać odpowiedź, gdyż na listy anonimowe nie odpowiadamy.

* * *

Od połowy kwietnia b. r. p. dr. Julja Switalska, obejmuje w „Bluszczu” kierownictwo nowego działu: kosmetyki i higieny kobiety, oraz udzielać będzie odpowiedzi na napływające z tego zakresu pytania naszych Czytelniczek.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Opis sukien i robót do Nr. 16.

286. Palto z granatowego „kasha,” boki, układane w fałdy — paseczek z czarnej skóry.

287. Palto z piaskowego sukna, przybrane ciemniejszą taśmą.

288. Palto z pelerynką z ciemno popielatego, przerabianego materiału. Kołnierz i podbicie peleryny z jasno popielatego, cienkiego rypsu.

289. Letnia sukienka z crêpe marocain białego, przybrana fularem czarnym w białe grochy.

290. Palto z brązowego sukna — dół i kołnierz jaśniejszy, naszyty wąską plecionką koloru palta.

291. Sukienka na ulicę dla dziewczynki od lat 5 do 7. Dół z welny w kratę, góra z sukienką w jednym kolorze. Kołnierz jaśniejszy — dobrany kolorem do całości.

292. Palto dla chłopca od lat 10 do 12 z angielskiego materiału.

293. Letnia sukienka z płócienną lub markizetą, ozdobiona mreżkami.

294. Letnia sukienka z kreponu w pasy, przybrana gładkim kreponem.

295. Ubranko marynarskie dla chłopczyka od lat 4 do 7.

296. Paltocik dla dziewczynki od lat 10 do 13 z granatowej welny.

297. Letnia sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z gładkiego i deseniowego kreponu.

298. Letni kostium z surowego jedwabiu, ręcznie haftowany.

299. Wzór na poduszkę — haft kolorowy.

Do numeru dzisiejszego, na życzenie wielu Czytelniczek dołączamy tablicę kroju, zawierającą formy damskiej i dziecięcej bielizny, oraz bluzki długiej i angielskiej z paskiem. Są to zasadnicze formy, które posiadając, można wykroić większość fantazyjnych modeli, zamieszczanych w „Bluszczu.”

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie niać na blankietach czekowych P. K. O.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub sukienka fantazyjna . zł. 3.50
sukienka zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecięce „ 2.00
bielizna „ 1.50

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi

Rocznie—57 zł. 60 gr, kwartalnie—14.60, miesięcznie—4.80.

Zagranicą: miesięcznie—8 zł. Zmiana adresu 30 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.

Telefon № 239-40.

Konto czekowe P. K. O. № 3700.

wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OJKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

18 KWIETNIA 1925 r.

Projekt Ustawy o karach za handel kobietami i dziećmi

Odesłany do Komisji, a tym sposobem utopiony co najmniej na kilka miesięcy w czeluściach sejmowych, projekt ustawy o karach za handel żywym towarem, zawiera konieczne uzupełnienia prawodawstwa polskiego w tym przedmiocie. Dotychczas bowiem nie było paragrafów prawa, któreby dały się do przestępstwa tego zastosować. W skutku wynikała bezkarność dla jednej z najcięższych zbrodni.

Ustawy zadaniem było nie tylko wprowadzenie odpowiednich paragrafów karnych, ale i ujednolnienie ich na całym obszarze Państwa.

Pod tym względem istotnie ustawa nie czyni zadość potrzebom życia. I tak:

W byłej dzielnicy austriackiej: — Par. 1. „Kto osobę płci żeńskiej, skłonił do oddawania się zawodowemu nierządowi, lub też na drogę zawodowego nierządu sprowadził, będzie karany za występki ścisłym aresztem od sześciu miesięcy do roku.“

Wymiar kary powiększa się do lat 5-ciu, jeżeli osoba poszkodowana jest małoletnią, jeżeli jest żoną, dzieckiem, lub siostrą sprawcy, jeżeli była sprawcy powierzona do opieki wychowania lub nauki, jeżeli pozostawała do sprawcy w stosunku zależności lub pod jego dozorem, jeżeli sprawca działał z chęci zysku jeżeli użył gwałtu, groźby, podstęp, lub korzystał z nieświadomości poszkodowanej lub z jej przymusowego położenia jeżeli dopuścił się czynu przestępnego w nadużyciu swego stanowiska i zawodu i t. d. Prawodawca przechodzi wszelkie ewentualności.

Dla byłego zaboru pruskiego odpowiedni paragraf za to samo przestępstwo przewiduje karę wię-

zienia „nie poniżej 3-ch miesięcy“, ale w razie okoliczności łagodzących można karę tę zmniejszyć „do 1 tygodnia.“

Odpowiednie obostrzenie kary w razie obciążających okoliczności tak samo jak dla b. zaboru austriackiego.

W zaborze rosyjskim winny wymienionego powyżej przestępstwa „będzie karany zamknięciem w więzieniu, zastępującem dom poprawny na czas do lat trzech.“

Dlaczego wprowadzono te różnice?

Poza tem w ustawie projektowanej uderza za niski stosunkowo wymiar kar i za częste odwoływanie się do okoliczności łagodzących, na co w Sejmie zwrócił uwagę poseł Bittner. W każdym razie przy zastosowaniu poprawek ustawa byłaby ważnym krokiem naprzód w dziele sanacji naszego życia. Odesłana do Komisji — pozostawia znów na dłuższy czas sprawę całą w tem zabieganiu prawnem, jakie odziedziczyliśmy po rządach zaborczych.

Z życia stowarzyszeń

— NA WALNEM ZEBRANIU LIGI KOBIET POLSKICH WE LWOWIE. Walne zgromadzenie tu. Ligi Kobiet Polskich odbyło się w połowie marca pod przewodnictwem p. Jadwigi Bogdanowiczowej w lokalu stowarzyszenia przy pl. Akademickim № 1. Z wygłoszonych sprawozdań z całorocznej działalności Ligi zasługuje zwłaszcza na wzmiankę czynność Ochronki im Józefa Piłsudskiego dla sierot i dzieci żołnierzy polskich. Ochronka mieści się w budynku miejskim przy ul. Jabłonowskich 7. Ochronka wychowuje 64 dzieci płci obojej, z tego 38 zamieszkałych w internacie i 26 przychodnich.

P. Mościcka omówiła sprawę budowy domu mieszkalnego dla kobiet umysłowo pracujących, którą inicjowała ongi ś. p. Marja Du-

łębianka. Pod budowę domu ofiarowała ś. p. Jabłonowska grunt na Centnarówce, plany są gotowe, jednak pieniądze, jakie na ten cel zebrano, umieszczone na książeczkę kasową i w akcjach, straciły całą wartość. Mimo to Liga podejmie na nowo pracę około urzeczywistnienia pięknego zamiaru i zwoła wkrótce szersze zebranie obywatelskie, które zastanowi się nad sposobem zasilenia funduszu budowy.

Na zakończenie zebrania wygłosiła p. Aleksandra Zagórska ciekawy referat o działalności Ligi Ochotniczej Kobiet.

— POZNAŃSKIE TOW. OCHR. KOBIET zawiadamia, że w barakach przy ul. Bukowskiej dokonano odnowienia budynku. W barakach umieszczono 30 łóżek, aby pod różnym, szczególnie kobietom, jadącym bez środków, umożliwić przenocowanie i zapewnić opiekę. Zarząd spoczywa w rękach SS. Alberynek.

— „Rodzina Wojskowa“, jedno z najmłodszych i zarazem najruchliwszych stowarzyszeń zorganizowało energiczną akcję na prowincji. Ze wszystkich stron kraju napływają zgłoszenia akcesu do „Rodziny.“

W Warszawie zorganizowano w ostatnich tygodniach Sekcję ogrodniczą, która służyć będzie radą i pomocą w zakładaniu ogródków, rozsyłaniu nasion i t. p.

Korespondencje Biura Prasowego dla spraw kobiecych

— LUBLIN 25 marca. Zawodowa Szkoła żeńska w Lublinie, zachęcona powodzeniem na wystawie w Warszawie, postanowiła w r. b. wziąć udział w międzynarodowej wystawie okružnej, która objedzie Francję, Anglię, Włochy i Danję.

Obecnie uczennice Szkoły pracują z zapałem nad wykończeniem robót, przeznaczonych na wystawę. Będą tam makaty o kompozycjach figuralnych i ornamentyce roślinnej, haftowane szale, poduszki, będzie reprezentowany dział intro-ligatorski i t. d.

Dodać trzeba, że szkoła ta bodaj ze wszystkich najlepiej potrafiła zastosować motywy ludowe, wydobywając z nich bogactwo kolorystyki i niezrównany rozmach fantazji.

Szkoła liczy obecnie 135 uczennic. Pochodzą one przeważnie ze sfery inteligencji pracującej i robotników fabrycznych. W r. b. wprowadzono do szkoły, jako przedmiot obowiązkowy, naukę gospodarstwa domowego.

Rozwój szkoły tamuje brak odpowiedniego lokalu. To też Zarząd szkoły zamierza budować gmach własny. Spodziewana jest pomoc rządowa, ale musi przyłożyć się do dzieła i społeczeństwo miejscowe. W tym celu wypuszczono cegielki, na budowę gmachu szkolnego w cenie 1 zł., a także projektowane są różne improzy dochodowe. Na plan gmachu ogłoszony będzie niebawem, konkurs. Projekt szkoły jest już opracowany. K.

— OSTROWIEC (wojew. Kielecki) 8 IV.

Ostrowiec posiada 2 stowarzyszenia, wyłącznie kobiece:

1) Koło Kobiet polskich które od roku 1922 pracuje wspólnie z Kołem Polek i przesyła tam corocznie swoje sprawozdania. W ostatnich czasach działalność tego stowarzyszenia bardzo osłabła, w skutek ogólnej stagnacji i depresji. Pracuje tylko kilka członkiń Zarządu.

Ogół stowarzyszonych zachowuje się bardzo biernie i apatycznie.

2) Narodowa Organizacja Kobiet jest obecnie prawie zupełnie nieczynna.

Ożywia się i działa bardzo intensywnie tylko w czasie wyborów do Sejmu.

Poza tem istnieją tu organizacje mieszane, z tych:

1) Sokół rozwija się bardzo szybko i liczy już 150 członków — w tem kobiet 70.

2) Stowarzyszenie Chrześcijańskie młodzieży rzemieślniczej liczy około 20 członkiń. Urządziło ono w r. b. kilka bardzo udatnych przedstawień amatorskich.

3) Związek harcerski liczy 5 hufców. Połowę Związku stanowią harcerki.

Co do pracy zawodowej kobiet:

Istnieją tu 4 magazyny krawieckie, zatrudniające znaczną ilość pracowników, prócz tych które pracują u siebie, lub na mieście. Magazynów kapeluszy mamy 2.

Inteligentki oddają się następującym zawodom — w bankach pracuje 6, w aptekach — 10. w sklepach — 23, w biurach — 10 na pocztę — 6.

Zauważyć należy przytem, że redukcją objęte zostały przeważnie kobiety i że wynagrodzenie ich jest wszędzie niższe od wynagrodzenia mężczyzn. K.

— STRYJNA (pow. Lubelski) 15 marca. W dniach od 8-go do 12-go b. m. w sali pałacowej w Stryjnie, staraniem miejscowego Koła rolniczego, odbyły się praktyczne kursy gospodarstwa wiejskiego dla kobiet — Przewodniczącą kursów była p. Zrobkówna, instruktorka koła gospodyń wiejskich przy Centr. Tow. Rolniczem w Warszawie. Zapisano się na kursy, jako stałe słuchaczki i praktykantki, 40 kobiet i dziewcząt. Na odczyty przychodziło około 200 osób, Słuchano z wielkiem zajęciem wykładów p. Zr., jak również 3-ch pogadanek p. R. z Warszawy, korespondentki „Gazety Świątecznej” i „Gazety Gospodarskiej”. J. Z.

— ŚWIECIE (na Pomorzu) d. 11-go marca. W mieszkaniu p. starościny Bartschowej w Świeciu na zebraniu Ziemianek Pomorskich wygłoszono dwa wykłady: p. Janta-Pończyńska mówiła „O Celach i zadaniach Towarzystw Ziemianek”, p. Stefania Bojarska, instruktorka oświatowa „O pracy kulturalno oświatowej w powiecie Świeckim”.

— TUCHOŁA (na Pomorzu) dn. 17 marca. Na zebraniu Ziemianek pow. Tucholskiego przybyła z pow. Świeckiego instruktorka oświatowa p. Bojarska mówiła „O życiu i czynach Wandy Umińskiej”.

Kobiety w polityce

— Jak dowiadujemy się Narodowa Organizacja Kobiet wystąpiła oficjalnie z Rady Narodowej, pozostawiając członkiniom swoim swobodę indywidualnego udziału w pracach tej organizacji. Powodem ma być podobno przeświadczenie, iż Międzynarodowa Rada Kobiet ulega jakoby wpływom masonerii.

Zapewne w związku z tym faktem Rada Narodowa Kobiet ogłasza odezwę, w której naszki-

cowawszy historję R. Międzynarodowej Kobiet i jej doniosłe znaczenie, jako instytucji gromadzącej reprezentację 35 milionów kobiet, pisze: „Pod wpływem wojny i wypadków ostatniej dobrej R. M. Kob. rozszerzyła swoją działalność, stawiając na naczelnem miejscu współudział w dążeniach ludzkości nad osiągnięciem istotnych podstaw trwałego pokoju, opartego na zasadach sprawiedliwości i poszanowania praw wszystkich narodów.

„W interesie Polski — czytamy dalej — nie powinna ona być nieobecna tam, gdzie jest podjęta praca twórcza dla dobra ludzkości.

Nieobecność jej bowiem na tym posterunku będzie istotnym dowodem nieuświadomienia narodowego i wywoła często powtarzane zarzuty nietolerancji i ciasnego egoizmu. Obecność jej tam jest konieczną ponieważ sprawy polskie są tak mało znane, iż powoduje to możliwość rozsiewania fałszywych, nieraz wręcz oszczerczych informacji, tak skwapliwie szerzonych przez planową propagandę naszych wrogów na wszystkich międzynarodowych kongresach i zjazdach”.

W dalszym ciągu odezwa polemizuje wyraźnie z przeciwnikami udziału Polski w M. R. K.

„Dają się słyszeć głosy, że polka w tem ścieraniu się różnych, obcych nam prądów może zatracić przewodnią myśl naszej narodowej ideologii, naszych podstaw religijnych. Tym głosem odpowiadamy z całą stanowczością, że obawy te są płonne. Przeszłość kobiety polskiej jej prosta i czysta linja postępowania w czasie niewoli, jej niezachwiana wierność Bogu i Kościołowi i wytrwałe stanie na straży wszystkich tradycji narodowych i religijnych w trudnych warunkach największego ucisku, są dostateczną rękojmią, że jako wolna obywatelka poza granicami swego kraju, nie zatraci swego narodowego oblicza, lecz potrafi wnieść do zespołu przedstawicieli innych narodów ideologję swego narodu, jedną z najpiękniejszych ideologii świata”.

Odezwa kończy się cytata: „Kto nie wyjdzie z domu, aby zło znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego zło samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego”.

— Dn. 28 marca na konferencji w sprawie kresów wschodnich w Warszawie zabierały głos p. Elina Pełowska i p. Skoczylasowa.

Przyjęto uchwałę, zaproponowaną przez p. Pełowską, a skierowaną przeciw utworzeniu Sekcji Kresowej pod przewodnictwem p. Thugutą.

Sejm

— *Ustawa o karach za handel kobietami i dziećmi.* Na posiedzenie Sejmu, dn. 2 kwietnia r. b. wpłynął projekt rządowy noweli karnej w sprawie handlu kobietami i dziećmi. Referował poseł Liberman (P. P. S).

Ustawa ta — mówił — wypływa z międzynarodowych zobowiązań.

Okazała się konieczną rewizja kodeksów karnych w trzech dziedzinach, gdyż pochodzą one z dawnych czasów. Projekt trzyma się zasad konwencji międzynarodowej, rozszerza karalność i silnie obstrza sankcje prawne.

P. Bitner (Chrz. Dem.) zarzuca, że ustawa nie rozróżnia między rozpustą a nierządem. Musi być zaznaczone wyraźnie, że karze się tego, kto skłania do nierządu w celach zysku, należy skreślić przepisy o łagodzących okolicznościach. Ponieważ sam mówca wniosie koło 30 poprawek, proponuje odesłać ustawę do komisji prawniczej przestrzegając zaś przed odesłaniem do komisji opieki społecznej, gdyż chodzi tu o zmianę trzech kodeksów i subtelne kwestie prawne i dlatego poprawki niefachowców mogą w rezultacie wyjść na korzyść handlarzy żywym towarem.

P. Holder-Eggerowa (Zw. L. N.) zaznacza, że z 30 spraw, sądzonych w roku ubiegłym, zasądzono tylko w jednym wypadku i to tylko na miesiąc więzienia. Kara musi osiągnąć wszystkich zbrodniarzy.

P. Lieberman utrzymuje, że projekt rządowy jest dobrze obmyślony, a entuzjastyczni zwolennicy walki z handlem żywym towarem, odsyłając ten projekt do komisji, grzebią sprawę na dłuższy czas. Ustawa nie miała leczyć wszystkich bolączek, gdyż są na to paragrafy w istniejących kodeksach, trzeba je tylko znać.

Ustawę odesłano do komisji prawniczej, odrzucając wniosek przekazania jej również komisji opieki społecznej.

Opieka nad reemigrantami. P. Sokolnicka (Z. L. N.) referowała swój wniosek o zapewnienie opieki polskim optantom, wracającym z Niemiec; uważa ona, że niebacznie wpuściliśmy do kraju liczne rzesze z Bolszewji, natomiast w Niemczech zostało około 5.000 optantów polskich, przeważnie niezdolnych do pracy. Mają oni wrócić do 1 sierpnia. Musimy zapewnić im opiekę podczas przejazdu, a w kraju dach nad głową i możliwość pracy. Można dla nich prze-

znaczyć część osad po kolonistach niemieckich, którzy wyjadą do Niemiec, i zapewnić im kredyty.

Kursy, odczyty, wykłady

— Na posiedzeniu Ligi Kobiet polskich we Lwowie, była komendantka Ochotniczej Legji kobiet podpółkownik Aleksandra Zagórska wygłosiła odczyt, ujmujący w skrócie dzieje żeńskiego oddziału wojskowego, zostającego pod jej komendą. Zaznaczywszy, że czyni to w celu wyjaśnienia istotnego stanu rzeczy i sprostowania mylnych i niesprawiedliwych o niej poglądów, pani Zagórska przeszła do powstania oddziału.

„Początek Legji Kobiecej sięga czasów obrony Lwowa. P. Zagórska zorganizowała zrazu oddział kurjerów, które w listopadzie 1918 roku chlubną odegrały rolę, następnie milicję kobiecą do służby wartowniczej i werbunkowej (w której pełne zapału niewiasty odprowadzały do koszar, ukrywających się przed obowiązkiem wojskowym, mężczyzn). Milicja przekształciła się wkrótce w Ochotniczą Legję Kobiet, której powierzano służbę transportową, wartowniczą, a nawet obserwację ruchów nieprzyjacielskich, w czym odznaczył się oddział p. Kamili Janoty na Wysokim Zamku. Szeregi kobiet zasilala werbunkiem, prowadzonym w Warszawie, Marja Rodziewiczówna. Władze wojskowe zorganizowały później kobiecą kompanię bojową, czemu jednak p. Zagórska usilnie się sprzeciwiała, uważając, że służba kobiet w wojsku może oddać lepsze usługi poza frontem, natomiast przebywanie oddziałów legionistek wśród szeregów żołnierzy działa na obie strony demoralizująco.

Naogół jednak i tam legionistki, rekrutujące się przeważnie z elementu inteligentnego i ideowego, wywiązały się ze swego zadania dzielnie i zdobyły sobie uznanie i pochwały dowódców.

W r. 1920 zorganizowano Legję wileńską, następnie batalion szturmowy warszawski, oraz oddziały wartownicze w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Grudziądzu. Ogółem służyło w Legji 14.000 kobiet, jednak nie równocześnie; naraz liczyły jej szeregi niewiecej nad 3.000 legionistek. Służyły one w armji polskiej z całym zapałem i poświęceniem, niektóre dokonały nawet czynów bohaterskich, a najlepszym dowodem ich zdatości do służby jest fakt, że władze wojskowe zra-

zu bardzo niechętnie organizowaniu Legji, nie tylko nie zrealizowały zamierzanego przez kilka lat jej rozwiązania, ale nawet zwiększyły szeregi kobiece.

Z chwilą nastania pokoju przekształcono Legję na Szkołę służby pomocniczej, a w r. 1922 zlikwidowano ostatecznie, ze względów oszczędnościowych. Jednakże organizatorki armji niewieściej zamierzają prowadzić nadal akcję przysposobienia wojskowego kobiet, a nawet starają się o wprowadzenie obowiązku wojskowego kobiet, jako służby pomocniczej, z czem nawet Sejm liczy się poważnie, rozumiejąc, że nie należy odrzucać tysięcy uzdolnionych i przejętych chęcią służenia sprawie młodych sił, w razie, gdyby naród znalazł się w ciężkiej potrzebie.

— Dn. 10 marca na posiedzeniu Polskiego Tow. Medycyny Społecznej dr. med. Budzyńska Tylicka zreferowała sprawę pomocy położniczej w Polsce, wykazując, jak zaniedbane jest to zagadnienie, tak ważne z punktu widzenia polityki populacyjnej, bezpośrednio związane z ochroną macierzyństwa i z podstawowymi zasadami zdrowia narodu. Stwierdziwszy, że sprawą tą nie interesuje się ani Państwo, ani samorządy, referentka dała szereg danych statystycznych, których wymowne cyfry budzą grozę.

„Na terenie Polski 80 proc. położów odbywa się bez fachowej pomocy w okropnych warunkach higienicznych, pod opieką brudnej babki wiejskiej. Dzięki tym warunkom, przypada na b. Królestwo 15.000 zakażeń, zwanych gorączką połogową, a na Małopolskę 13.000, zaś w Wielkopolsce 4 razy mniej. Prawie połowa matek, po gorączce połogowej, umiera, a reszta podlega cierpieniom chronicznym, stając się niezdolnymi do normalnej pracy; najczęściej matki te zostają bezpłodne na zawsze. Co do liczby akuserek, to w Polsce przypada 1 akuszka na 14.000 ludności i na 334 kil. kw., podczas gdy w Zach. Europie przypada 1 akuszka na 2.000 ludności. Największy nacisk położyła dr. Budzyńska-Tylicka ma małe wykształcenie akuserek z powodu niskiego cenzusu, wymaganego przy przyjmowaniu uczennic do szkół położniczych.

Referentka żąda: 1) by wymagano od kandydatek przynajmniej ukończenia 7 oddziałów szkół powszechnych, 2) żeby kurs trwał dwa lata, 3) żeby do nauczania wprowadzić pielęgnowanie niemowląt i wogóle pielęgniarstwo, 4) żeby uczennice pozostawały w internacie. Te żądania referentka, jako radna, wniosła była do Ma-

gistratu, który po naradach, przeprowadzonych przez Radę Pedagogiczną warsz. miejskich szkół położniczych uznał: 1) że cenzus 7-odz. szkół powsz. jest za wysoki, że najwyżej może podnieść z 3 — 4 oddziałów, 2) że nauka 1 rok wystarczy, 3) że internat jest bezwzględnie wskazany, 3) że pielęgnowanie niemowląt będzie do programu wprowadzone.

Połowiczne to załatwienie, szczególnie nieuwzględnienie żadanego cenzusu i 2-letniego kursu referentka uznaje za szkodliwe i wstrzymujące racjonalną reformę szkolenia akuserek; postanowiła też dalej zabiegać już u władz centralnych o wykonanie jej programu.

Wiadomości Zagraniczne

ANGLJA. O nauczanie dzieci upośledzonych. W ostatnich dniach marca odbyła się w Londynie, pod przewodnictwem Lady Atholl konferencja w sprawie szkół dla dzieci upośledzonych pod względem fizycznym: głuchoniemych, niewidomych i t. d.

Ministerjum Oświaty wydało niedawno okólnik do wszystkich lokalnych wydziałów szkolnych z poleceniem zakładania specjalnych szkół dla takich dzieci. Okólnik podkreśla, że na terytorjum Anglii znajduje się przeszło 150,000 dzieci — kalek, w wieku szkolnym; istniejące zaś zakłady naukowe mogą zaledwie pomieścić liczbę 41.000 dzieci. Ks. Atholl nawołuje kobiety angielskie do zbiorowej akcji w kierunku uświadomienia społeczeństwu konieczności zakładania specjalnych szkół dla tych niešťśliwych. Min. Oświaty. me wyznaczyć na ten cel znaczne fundusze.

Nowa delegatka do Komisji Ligi Narodów. Pani Rathbone została członkiem Komisji Ligi Narodów do zwalczania handlu kobietami i Dziećmi. P. Rathbone jest znaną działaczką społeczną i członkinią licznych Komitetów opieki społecznej, ochrony pracy kobiet i nieletnich i t. d. i t. d.

TURCJA. Pierwsze prawniczki turckie. Pierwszemi kobietami, które ukończyły wydział prawny uniwersytetu w Konstantynopolu, są panie: Surca Agaew, Melachat i Aedieh—Hanum. Złożyły one ministrowi sprawiedliwości memoriał z prośbą o dopuszczenie ich do

praktyki sądowniczej lub adwokackiej.

ST. ZJEDNOCZONE. O prawa dla kobiet. Staraniem Narodowej Organizacji Kobiet amerykańskich (National Woman's Party) złożone zostały do Izby Ustawodawczej Stanu nowojorskiego następujące projekty ustaw:

a) udzielania matce jednakowych praw z ojcem do korzystania z zarobków dzieci;

b) udzielania kobiecie zamężnej wyłącznego prawa do korzystania z własnych zarobków, tudzież z asekuracji i odszkodowań, wypłacanych w razie jej niezdolności do pracy;

c) powoływania kobiet narówni z mężczyznami do sądów przysięgłych;

d) usunięcia wszelkich różnic w uposażeniu pracowników tej samej kategorii i tych samych zawodów przez zrównanie płac kobiet z płacami, pobieranymi przez mężczyzn;

e) wprowadzenia zasady jednakowej moralności dla obu płci przez nakładanie jednakowych kar zarówno na kobiety, trudniące się nierządem, jak i na mężczyzn, utrzymujących z niemi stosunki.

Projekty tych ustaw wniesione będą do Izby przez senatorów: Fearon'a, Nicoll'a i czterech innych posłów.

Przegląd prasy

W Nr. 78 „Głosu Narodu” z dnia 3.IV znajdujemy obszerną recenzję z wystawionej w Warszawie sztuki Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka” — pióra p. Hanny Zahorskiej.

— „Dziennik Ludowy” (Lwów) Nr. 67 zamieszcza Marji Straszewskiej „Rola Kobiety w ruchu robotniczym”. Autorka ubolewa nad tem, że kobieta proletariuszka nie ma czasu na udział w organizacjach społecznych i politycznych i proponuje, by dla kobiety — matki skrócić dzień pracy do 6-ciu godzin.

— „Kurjer Warszawski” Nr. 95 p. t. „Z polskich dżungli” — zamieszcza wywiad J. Czempieńskiego z instruktorką Polskiego Białego Krzyża, która opowiada mu o swej pracy oświatowej. Pod wywiadem widzimy nazwisko dziennikarza, ale nazwisko młodej działaczki utonęło w gwarze słów. Bardzo charakterystyczne!

— „Robotnik” Nr. 88 drukuje nowelę Halny Marji Dobrowolskiej p. t. „Zielony parawan”.

— „Gazeta Warszawska” Nr. 89 drukuje Emilji Sukertowej „Szkolnictwo na Górnym Śląsku”.

Życie sportowe

— ŻYCIE SPORTOWE AKADEMICKIE. W warszawskim Akademickim Związku Sportowym nie istnieje oddzielna sekcja sportowa pań. Panie należą do sekcji mieszanych: lekko atletycznej, narciarskiej, wodnej i piłki latającej.

Liczba ich wynosi około 500: w Sekcji lekkoatletycznej 10, narciarskiej 150, wodnej 150, piłki latającej 10.

Ćwiczenia gimnastyczne dla pań odbywają się oddzielnie, inne — zależnie od warunków technicznych.

Ważniejsze wyniki sportowe w ostatnim roku: sekcja lekkoatletyczna ustanawia rekordy polskiej bieg 80 m. 11,9 sekund. Woynarowska, ta sama bieg 200 m. 30,3 sekundy, rzut oszczepem 25 m. rzut dyskiem 1,5 kg. 23,45 m. Konopacka, pięciobój 2604,8 punktów Woynarowska, Mistrzostwo Polski w rzutach dyskiem, kulą i oszczepem.

Sekcja wodna w regatach o mistrzostwo Polski zajęła 2-e miejsce, na jedynkach p. Czarnocka była bezkonkurencyjna. W sekcji narciarskiej, p. Czarnocka zajęła 2-gie miejsce, w biegu o mistrzostwo Polski.

Drużyna piłki latającej spotkała jeszcze nie rozgrywała.

— Sekcja pań „Polonji” od paru tygodni odbywa ćwiczenia w gimnastyce lekkoatletycznej pod kierunkiem p. Antoniego Cejzika. Samo nazwisko prowadzącego każe nam dużo spodziewać się po ćwiczących paniach, (jest ich koło 14-tu). Ćwiczeniami temi przygotowują się one do treningów wiosennych na dworze, które poprzedzą zawody. W początkach kwietnia urządza Polonja bieg na przełaj na 1500 m. dla pań. Będzie to pierwszy tego odzaju bieg w Polsce.

— PŁYWANIE. Już teraz kółka sportowe w licznych szkołach żeńskich zaczyrają się krząać koło zorganizowania na lato lekcji pływania dla swoich członkiń. Trudnością wielką jest tu brak odpowiednich urządzeń nad Wisłą.